

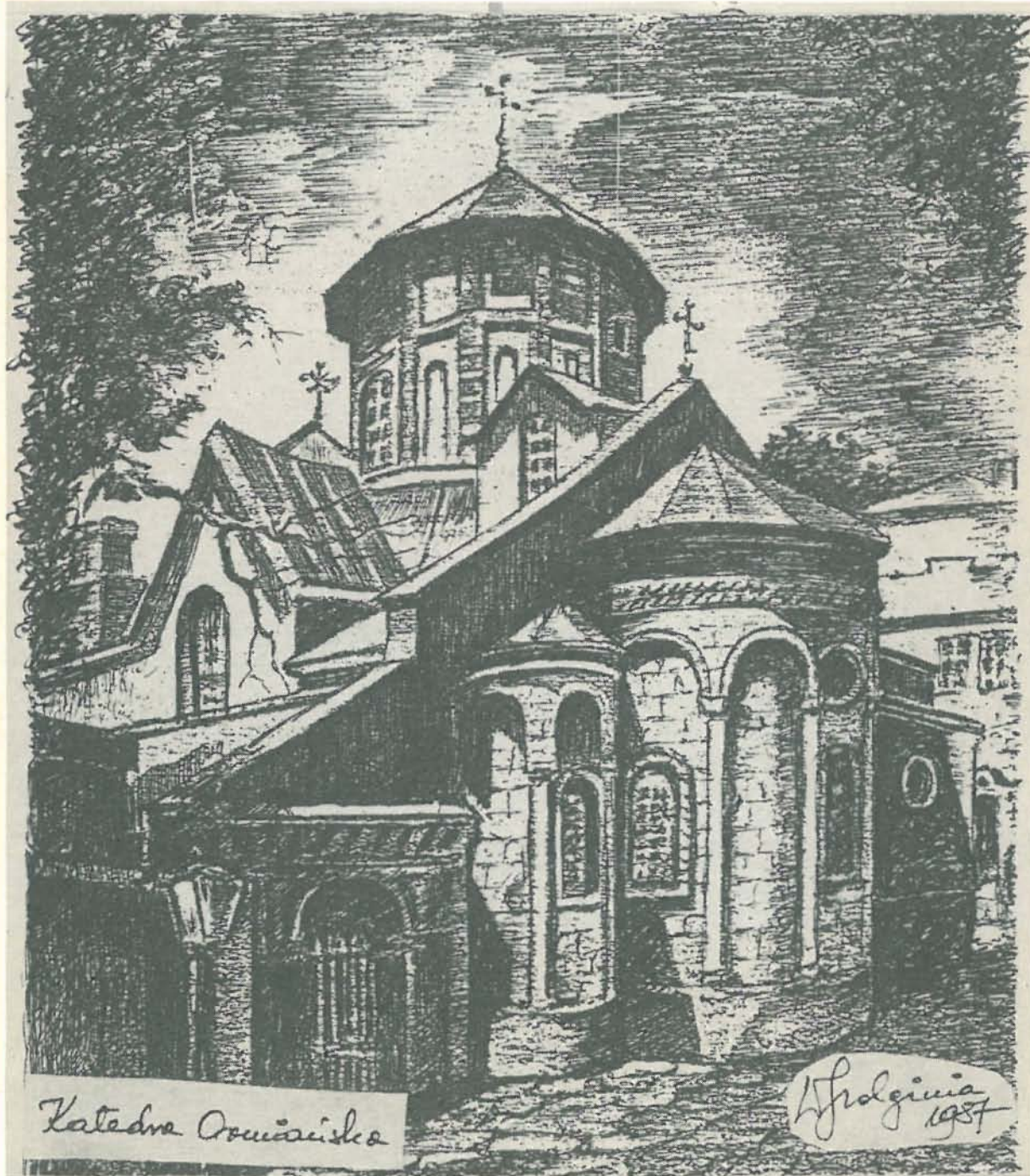


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

2 (12) 1992

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW WSCHODNICH ● WROCŁAW



Katedra Obojczyńska

SEMPER FIDELIS

OD REDAKCJI

Trójęgłos 1

HISTORIA

ANDRZEJ CHLIPALSKI

Perła uzdrowisk wschodniomałopolskich 2

ANDRZEJ RYBICKI

Koleje, które przecięły Karpaty Wschodnie 5

STANISŁAW RAKOWSKI

Z dziejów Konwentu Dominikanów w Czortkowie 9

BRONISŁAW SZEREMETA

Losy polskich żołnierzy w niewoli radzieckiej
— II wojna światowa 11

WITOLD SZCZEPANIEC

Malarskie pasje Feliksa Lachowicza 15

ROMAN WYTYCZAK

Wśród starych atlasów i map Biblioteki Ossolineum 22

TADEUSZ KUKIZ

Lwowskie Madonny 24

WSPOMNIENIA

WŁADYSŁAW HUK

Wspomnienia z Kosowa (woj. stanisławowskie) 29

HELENA PASIERBSKA, WACŁAW DZIEWULSKI

Ponary

Największe miejsce kaźni... 30

AKTUALNOŚCI

ADAM RUBASZEWSKI

Pamięci Stanisławowa 32

ALEKSANDER KORMAN

Inny Broniewski (c.d.) 33

POLEMIKI

A jednak doc. Szolginia ma rację

34

RECENZJE

Lwów w publikacjach Barbary Mękarskiej-Kozłowskiej 35

Z ŻYCIA ODDZIAŁÓW

36

POSZUKIWANIA

37

KORESPONDENCJA

38

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

39

LISTA OFIARODAWCÓW

40

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chlipalski, Lesław Flis, Wiesława Jeleńska-Hombek, Danuta Nespiak, Stanisław Sławomir Nicieja, przewodniczący, Zdzisław Ojrzyński, Jan Ziembicki

REDAKCJA: Zdzisław Ojrzyński — redaktor naczelny, Danuta Nespiak; Maria Iżewska — redaktor odpowiedzialny, Irena Zaucha — asystent redaktora

ADRES REDAKCJI: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa — Wrocław, Rynek 7/9 tel. 44-88-93

WYDAWCA: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Trójgłos

Półtora roku temu Stanisław Lem na uwagę: „Pańskie miasto rodzinne, Lwów, na pewno pana jako pisarza w pewien sposób ukształtowało...”, odpowiedział: „Wie pani, tak kocham to miasto, że dotąd nie skorzystałem z licznych propozycji, aby je odwiedzić, choć już wiele lat temu Rosjanie chcieli mi to ułatwić. Próbowano też ze mnie zrobić Ukraińca, no bo Lem — to Łem, a to już prawie... Łemko. Gdyby mi dziś ktoś zawiązał oczy i zawiózł do Lwowa, bezbłędnie przeszedłbym trasą z ulicy Brajerowskiej i dalej, tam, gdzie spacerowaliśmy z ojcem. W końcu bez trudu odnalazłbym słynną ul. Akademicką, bo tam była najwspanialsza cukiernia Zalewskiego... Po lwowskich cukierniach i lodziarniach byłbym cicerone, ale byłbym przewodnikiem po Lwowie widmowym...” („Przekrój” nr 75 (2374) z 23–30 XII 1990).

Również czternaście miesięcy później napisał ten wielki pisarz i myśliciel: „Bo ja jestem wypędzony ze Lwowa. Wypędzono mnie i podczas kiedy Niemcy buńczucznie tupali, śpiewali, herbami miast ongiś niemieckich, a przez Polaków zawłaszczonych, wywijali i głośno się pp. Hupka, Czaja, Koschik rewindykacji domagali, miałem, mieliśmy gęby mocno zawarte. Pisać nie można było. Toteż zaczynam każdy wywiad udzielany Niemcom, ich telewizji, radiu, gazetom niemieckim od słów »Ich bin ein Vertriebener«. Zostałem wypędzony i nikt mi tego, ani tego milczenia prawie już półwiekowego z ojczyzny mojej nie zdoła zrekomensować nijak. To była rana i to jest rana nie zabliźniona. W otoku słowa »Heimat« ojczyznę utraciłem na zawsze. Tę mniejszą moją lwowską razem z Czarnohorą, Delatynem, gdzie służyłem i most na Prucie zwalony budowałem, z Jawornikiem, Howerlą, Pop-Iwanem, ze wszystkim. Owszem z Hucułami, z Ukraińcami, to byli moi koledzy gimnazjalni. Byłem bowiem jako chłopiec obywatelem Rzeczypospolitej Wielu Narodów, której już nie ma. To była moja Ojczyzna” (S. Lem, *Ojczyzna?* „Tygodnik Powszechny” z 23 II 1992).

Z niejakim opóźnieniem przysłało mi wypowiedź posła Jacka Kuronia, zamieszczoną w lwowskiej gazecie „Wysokij Zamok” nr 29 z dnia 5 III 1992, zatytułowaną *Nauczysia żyć w drużbie*. Poseł powiedział m.in. „Ja, Polak iz Lwowa szczęśliwy ot tego, czto Lwow jawlajetsia ukraińskim gorodom. Eto trudno poniat”, co w wolnym tłumaczeniu brzmi: „Ja Polak ze Lwowa jestem szczęśliwy, że Lwów okazuje się (jest) ukraińskim miastem. To trudno zrozumieć”.

Nasuwa mi się tu refleksja. Chyba żaden z przedstawicieli niemieckiego parlamentu przez i po podpisaniu traktatu polsko-niemieckiego nie powiedział np. w ten sposób: „Ja Niemiec z Wrocławia (czy Szczecina, Opola, Jeleniej Góry, Gorzowa — wszystko jedno) jestem szczęśliwy, że Wrocław staje się (jest) polskim miastem”.

Z braku czasu trudno śledzić ducha wypowiedzi „kresowych” w całej polskiej prasie i telewizji. A jest tego sporo. Poseł Aleksander Małachowski mówiąc i pisać zdaje się jednak wracać przewrotnie do koncepcji Polski Jagiellońskiej, określając siebie jako ukraińskiego Polaka. Zatem czy *gente Ruthenus natione Polonus*, czy *gente Polonus natione Ruthenus*? No bo jak to przełożyć nie na łacinę, lecz na tożsamość?

Jest demokracja, każdy ma prawo do własnych poglądów, przekreślamy jedynie nacjonalizm i szowinizm oraz odpowiedzialność zbiorową, ale nie osobistą za słowa i czyny. Wydaje się, że publikowanie w „Semper Fidelis” materiałów o kresowej Rzeczypospolitej Wielu Narodów, która była naszą ojczyzną i która poniosła najgorsze konsekwencje paktu Ribbentrop-Mołotow, nie koliduje z polską racją stanu. Odcinanie się od własnej tradycji i historii jest śmiercią tożsamości narodowej, a narodowość moim zdaniem jest sprawą wolnego wyboru. Czy w Europie mamy być śląskimi, nienieckimi, ukraińskimi, rosyjskimi, litewskimi czy Bóg wie jeszcze jakimi Polakami?

Ale kiedyś kresowy Polak to był obywatel Rzeczypospolitej Wielu Narodów, a jej — jak napisał Lem — już nie ma. Nie fałszujemy jej historii, bo to właśnie jest przeciw polskiej racji stanu.

Danuta Nespiak

Truskawiec i inne

Perła uzdrowisk wschodniomałopolskich

Nazwa „Truskawiec” nieprzypadkowo patronuje całemu cyklowi artykułów poświęconych uzdrowiskom wschodniomałopolskim¹. Niezwykle to zdrojowisko², rozwijające się pomyślnie od początku XIX w., stało w Rzeczypospolitej międzywojennej na drugim miejscu pod względem frekwencji po Krynicy, przed Ciechocinkiem i Iwoniczem. Górowało jednak nad wszystkimi – nawet w skali europejskiej – wszechstronnością swej oferty leczniczej i jej skutecznością. Zawdzięczało to nieprzeciętnemu bogactwu oraz różnorodności składu chemicznego miejscowych wód mineralnych i peloidów. Ale o tym za chwilę.

Walory lecznicze Truskawca doceniono już na początku XIX w. Jego wody mineralne wykorzystywano systematycznie od lat dwudziestych, pierwszy zakład kąpielowy powstał zaś w 1836 r. Dogodne położenie – tuż obok żywiołowo rozwijających się ośrodków górnictwa i przemysłu naftowego, z Drohobyczem i Boryslawem na czele, a także niezbyt duża odległość od Lwowa (ok. 100 km) i Stanisławowa zapewniały Truskawcowi stały napływ dobrze sytuowanej klienteli. W 1912 r. doprowadzono tu linię kolejową z Drohobycza (9 km); przedtem odległość tę pokonywano zaprzęgami konnymi. Warto przypomnieć, że Drohobycz leży przy tzw. podkarpackiej linii kolejowej, biegnącej od zachodniego do południowo-wschodniego krańca niegdysiejszej Galicji – późniejszych południowych województw II Rzeczypospolitej, od Śląska, przez Bielsko i Białą – Żywiec – Suchą – Chabówkę – Nowy Sącz – Gorlice – Jasło – Krosno – Sanok – Sambor – Drohobycz – Stryj – Stanisławów – Kołomyję, aż do granicy Bukowiny i Rumunii. Połączenie ze Lwowem było (i jest) dwustronne: przez Sambor albo przez Stryj.

W XIX w. Truskawiec pozostawał w rękach żydowskich, np. w latach 1870-tych właścicielami zdrojów i wsi byli Lejzor Gartenberg i Lejzor Jeknycz³.

¹ Artykuł wstępny cyklu ukazał się w nrze 4 (10) 1991.

² Zdrojowiskiem nazywa się uzdrowisko, którego funkcja lecznicza opiera się głównie na wykorzystaniu źródeł (zdrojów) wód mineralnych, a także peloidów (borowiny, mułu). Uzdrowiskami są ponadto stacje klimatyczne oraz kąpieliska (morskie lub rzeczne).

³ Wg *Przewodnika statystyczno-topograficznego i skorowidza obejmującego wszystkie miejscowości z przysiółkami w Król. Galicji, WX Krakowskim i X Bukowinie* [...], wydany przez Konrada Okszę-Orzechowskiego, dyrektora c.k. Sądowych Biór (sic!) Pomocniczych w Krakowie, 1872.

Dopiero w 1911 r. źródło wykupuje spółka pod nazwą „Zdroje Truskawieckie”, na której czele stanął Rajmund Jarosz, ówczesny burmistrz Drohobycza. W rękach rodziny Jaroszów pozostawał Truskawiec aż do II wojny światowej. Rajmund Jarosz był – jak wiemy z pierwszego odcinka niniejszego cyklu – postacią znaczącą w zdrojownictwie polskim, pełniąc przez wiele lat godność prezesa Związku Uzdrowisk Polskich. Stanowisko to zawdzięczał niewątpliwie osobistym zaletom – ich ilustracją niech będzie anegdota opowiedziana przez jego wnuka i imiennika⁴.

Skarżyli się nobliwi goście na zalew Truskawca przez Żydów. Udała się przeto do Jarosza delegacja kuracjuszy z żądaniem ograniczenia wstępu do źródła dla Izraelitów. Jarosz prosił wysłuchać, po czym wydał zarządzenie tej mniej więcej treści: „Żydzi nie mają prawa korzystania z urządzeń zdrojowych od 8-mej wieczorem do 8-mej rano. W pozostałym czasie wstęp nie jest dla nich ograniczony”.

Nie trzeba dodawać, że w porze nocnej łaźienki, pijalnie itp. obiekty czynne nie były.

Wróćmy jednak do bogactw naturalnych Truskawca i jego oferty leczniczej. Niezwykła różnorodność składu chemicznego jego wód (bardzo obfitych) tłumaczy się położeniem miejscowości w szczególnie zasobnej w złoża mineralne okolicy: salin Stebnika i Drohobycza, olbrzymich obszarów roponośnych Boryslawia i Tustanowic, kopalń wosku ziemnego, cynku i galmanu⁵. Wody podziemne, krążące wśród tych złóż i tym samym wzbogacające nieustannie swój chemiczny skład, znajdują ujście w położonej wśród łagodnych wzgórz dolinie, tworząc jedyny w swoim rodzaju fenomen balneologiczny – bo tak złożony obraz chemiczny znajduje oczywiście swoje odbicie w walorach leczniczych.

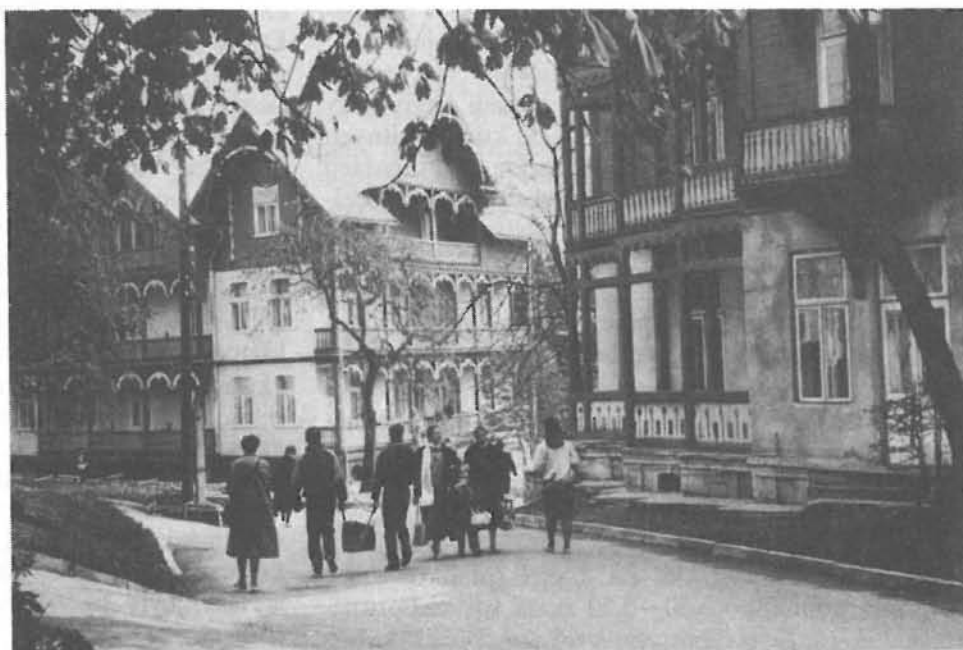
W Truskawcu leczono zarówno choroby przewodu pokarmowego (nieżyty żołądka i jelit), choroby nerek i dróg moczowych, choroby wątroby i dróg żółciowych, choroby przemiany materii (w tym cukrzycę), jak i przewlekły gościec stawowy i mięśniowy, newralgie, ischias, schorzenia kości, a także choroby kobiece, choroby skóry, wreszcie schorzenia mięśnia sercowego i naczyń krwionośnych, i jeszcze wiele innych. Nie może więc dziwić powodzenie tego uzdrowiska. Cieszyło się ono renomą i w kraju, i za granicą.

⁴ Rajmund Jarosz, obecnie aktor teatrów krakowskich.

⁵ Galman jest szczególną postacią rudy cynku, będącą mieszaniną kalaminu i smitsonitu.



Truskawiec: Wejście do parku.
Stan sprzed wojny



Truskawiec: Stare pensjonaty.
Stan obecny (1990)



Truskawiec: Klub Towarzyski
przed wojną

Były tu (i nadal biją, lecz pod obcymi teraz — poza Naftusią — nazwami) następujące źródła:

Bronisława — silnie hipertoniczna solanka, stosowana do wziewań i płukań gardła;

Józia — radoczyzna szczawa alkaliczna, używana jako woda stołowa;

Maria — woda słono-glaubersko-żelazista oraz Zofia — solanka hipertoniczna gorzka, stosowane wyłącznie do kuracji pitnych;

Ferdynand — solanka należąca do najsilniejszych w Europie, stosowana do kąpieli;

Barbara — woda gorzka.

Wreszcie najważniejsza:

Naftusia — silnie hipotoniczna szczawa alkaliczno-ziemna, unikat balneologiczny, jeśli chodzi o skład chemiczny i szczególne właściwości fizyczne. Źródło nazwano „Naftusią”, ponieważ świeżo zaczerpnięta z niego woda ma słaby zapach nafty. Jej biodynamiczne znaczenie polega na przyspieszaniu ogólnej przemiany materii przez szybkie wydalanie jej odpadów z tkanek, co ma istotne znaczenie w przypadkach, gdy chodzi o przepłukiwanie ustroju.

Wody truskawieckie były stosowane we wszystkich formach zabiegowych: do kąpieli (były trzy budynki łażniowe różnych klas), do kuracji pitnych (kilka pijalni różnych wód), wreszcie do inhalacji najróżniejszych rodzajów: zbiorowych i indywidualnych, solankowych, siarczanych, oleistych, do płukań itd. Bogactwa mineralne Truskawca uzupełniały peloidy: doskonała borowina siarczano-żelazista oraz muł słono-siarczany, używane do kąpieli borowinowych i okładów. Do tego celu wybudowano osobne łażni.

Barbarę, Zofię, Marię i Naftusię jako wody mineralne, a Józję jako gazowaną wodę stołową butelkowano i rozsyłano po całej Polsce.

Ile kosztowała kuracja w Truskawcu? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w cenniku uzdrowisk polskich na rok 1937/38. Za kąpiel solankową lub siarczaną pobierano 3,50–5,50 zł, za kąpiel borowinową 3–7 zł. Kąpiele można było wzbogacać dodatkami: kwasem węglowym (woda musująca) za 1,50 zł, tlenem — 2,75 zł, gałką balsamiczną — 40 gr. Karta wstępu do źródeł dla jednej osoby kosztowała w sezonie letnim 3 zł, po sezonie 2 zł. Taksa kuracyjna: w lecie 25 zł, w zimie i na wiosnę 13–19 zł, w jesieni 19–13 zł. Od opłaty tej zwalniano lekarzy z rodzinami i ... dziennikarzy (niestety bez rodzin). Ze zniżek mogli też korzystać urzędnicy państwowi i samorządowi, oficerowie (na podoficerów widać nie liczono) i wdowy po lekarzach.

A pokoje? W lecie pokój 1-osobowy kosztował 10–12 zł dziennie, 2-osobowy 18–22 zł, poza sezonem odpowiednio 7–8 zł i 14–16 zł. Wymienione ceny dotyczyły pensjonatów I kategorii, w II kategorii płacono przeciętnie o 20–30% mniej. Ceny te obejmowały również wyżywienie. Można też było wynająć sobie pokój z kuchnią, co kosztowało 140–180 zł miesięcznie, w zależności od położenia, urządzenia i sezonu. I wreszcie ułatwienia komunikacyjne: po 14-dniowym pobycie w uzdrowisku przysługiwała 33% zniżka kolejowa. Posiadaczom samochodów oferowano garaż po 1–1,50 zł za dobę.

Był więc Truskawiec — tak jak i inne zdrojowiska w tamtej epoce — obliczony raczej na dobrze sytuowaną klientelę. Ale czy dziś jest w Europie inaczej? Czy „normalnie” sytuowany zjadacz chleba w Niemczech, Francji lub Włoszech może sobie pozwolić na kurację w Baden-Baden, Vichy czy Montecatini? Myślę, że nie bardzo.

Atrakcyjność Truskawca nie kończyła się bynajmniej na walorach balneologicznych. Poza dobrym położeniem komunikacyjnym trzeba odnotować znakomite położenie geograficzne. Leży Truskawiec na obszarze Pogórza Karpackiego, na wysokości ponad 400 m nad poziomem morza (podobnie jak Iwonicz, a o 100 m niżej niż Krynica, Szczawnica lub Rabka), nad rzeczką Słonica⁶. Wspomniane już położenie w rozległej dolinie wśród łagodnych, lesistych wzgórz chroni go od silniejszych wiatrów. Klimat jest tu łagodny, średnio wilgotny, o małej ilości opadów atmosferycznych, o znacznym nasłonecznieniu.

Nie tylko naturalne czynniki lecznicze i klimatyczne sprawiały, że Truskawiec ściągał rzesze gości. Dodatkowym magnesem była szczególna, sympatyczna atmosfera, którą tworzyły ładna, kameralna zabudowa, doskonały poziom usług i bogate zainwestowanie „kulturalne”, przyciągające licznych gości także na całkiem krótkie pobyty, na towarzyskie „randez-vous”. Chętnie spotykali się tu ziemianie i przemysłowcy z okolicy, inteligencja ze Lwowa i z licznych w tym regionie mniejszych miast⁷, ale i z miast całej Polski, od stolicy poczynając. Był więc w Truskawcu ekskluzywny Klub Towarzystki, były lokale dancingowe, teatr i kino, urządzano tu zabawy i koncerty. W ogromnym parku, dobrze utrzymanym, o pięknym drzewostanie dwa razy dziennie przegrywała orkiestra zdrojowa. Doskonale wyposażona biblioteka oraz regionalne muzeum przyrodnicze stanowiły dodatkową atrakcję. O 2,5 km od centrum źródła leżą Pomiarki z kąpieliskiem siarczano-solankowym o powierzchni 10 000 m². Okolica obfitowała w lasy, były tu tereny narciarskie i inne atrakcje turystyczne.

W uzdrowisku znajdowały się urocze, ale solidne pensjonaty, w starszej części drewniane, jakże przydające uroku większości naszych głównie podgórskich kurortów: Krynicy, Szczawnicy, Iwoniczowi. W latach międzywojennych wybudowano wiele nowych, eleganckich i już murowanych will i pensjonatów, a także domów wypoczynkowych najróżniejszych instytucji i organizacji.

⁶ Nazwa rzeczki pochodzi oczywiście od słonej wody. W okolicy występuje wiele nazw przypominających, że jest to prastare zagłębie solne Ziemi Czerwieńskiej: Solec, Jasienica Solna itd. W herbie Drohobycza widnieje dziewięć „topek” soli.

⁷ Przedwojenna inteligencja małych miast we Wschodniej Małopolsce nie była bynajmniej „małomiasteczkowa” i często górowała nad mieszkańcami dużych miast w innych regionach kraju. Nie jest to mit — obserwowałem ten fenomen w latach powojennych, kiedy ludzie ci, po wysiedleniu, znaleźli się w nowych środowiskach. Nie było przypadkiem, że miasteczka i dwory Wschodniej Małopolski (i Ziemi Wschodnich w ogóle) były „wylęgarnią” polskiej inteligencji w skali ogólnokrajowej. Wystarczy przejrzeć życiorysy wybitnych Polaków.

Ten normalny, naturalny rozwój został niestety gwałtownie przerwany. Od półwiecza uzdrowisko rozwija się w całkiem innym kierunku, niż nadawali mu przedwojenni gospodarze. Pobudowano kilka gigantycznych sanatoriów, których uprzywilejowani goście tłoczą się na pompadourach, wybetonowanej promenadzie (nie przypominającej dawnego deptaku) oraz w monstrualnej pijalni o czterech „nawach”, ze stukilkudziesięcioma kurkami samoobsługowymi. Nie zapomniano naturalnie o zamienieniu neogotyckiego kościółka zdrojowego na planetarium, w którym prowadzono ideologiczne wykłady, mające nudzących się z braku innych rozrywek kuracjuszy utwierdzać w materialistycznym pojmowaniu świata. Skazano na śmierć techniczną uroczy cmentarzyk, na którym ostatnie już polskie nagrobki kamienne czekają na likwidację, a ruina kaplicy „ozdobiona” wulgarnymi napisami zieleń pustymi otworami. Tuż obok jest za to nowiutki kurhan ku czci banderowców.

Jak będzie? Któż to wie! Czy nadal będą przyjeżdżać do Truskawca bezpośrednie pociągi z Moskwy i dawnego Leningradu? Czy sanatoria-giganty nadal będą się zapelniać zasłużonymi kuracjuszami z za nie siedmiu, ale siedemdziesięciu gór i rzek⁸, gdy dla nas

⁸ Truskawiec, jako miejsce szczególne, trafił nawet do literatury radzieckiej. W latach 1970-tych wydano u nas przetłumaczoną z rosyjskiego powieść pisarza azerbejdżańskiego Maskuda Ibrahimbekowa pt. *Kto pojedzie do Truskawca* (*Kto pojedzie do Truskawca*).

ANDRZEJ RYBICKI

Koleje, które przecięły Karpaty Wschodnie

Wiek XIX to epoka ogromnego przyspieszenia cywilizacyjnego, zwłaszcza technicznego. Przyspieszenie to nie mogło oczywiście ominąć środków transportu, czyniąc z tej dziedziny jeden z głównych elementów wszechogarniającego postępu. Kiedy skonstruowano lokomotywę parową, pociągi ruszyły na podbój Europy, przedłużając swoje żelazne szlaki coraz dalej na wschód. Na ziemiach polskich pierwszy pociąg odjechał z Wrocławia do Oławy już w 1842 r., a więc równo 150 lat temu.

Niewiele później koleje żelazne dotarły do Galicji, wchodzącej wówczas w skład Austro-Węgier. Niebawem przeto musiał powstać problem połączenia tej prowincji z całą monarchią, przede wszystkim z jej stolicą Wiedniem. Na przeszkodzie stały jednak góry — długi łańcuch karpaccy, układający się równoleżnikowo, a więc odcinający Galicję od reszty habsburskiego państwa. Był to szczególnie problem dla Galicji Wschodniej, gdzie z jednej strony chodziło o szybkie w miarę połączenie stołecznego Lwowa z Węgrami i dalej z Wiedniem, z drugiej zaś niemałą trudność stwarzało sforsowanie potężnego w tym rejonie masywu wschodniokarpaccy.

w praktyce droga tam ciągle zamknięta, choć to tak blisko? Może wreszcie powstanie dla nas szansa?

Na koniec jeszcze raz o kościółku zdrojowym w Truskawcu. Parafia drohobycka odzyskała formalnie ten obiekt, nie został on jednak dotąd fizycznie przejęty. Ma służyć nie tylko garstce miejscowych Polaków, ale wszystkim katolikom (rzymskim), zjeżdżającym tu na kurację: Polakom z zachodnich republik, a może i nielicznym szczęśliwcom z Kazachstanu i Syberii, Litwinom, Łotyszom. Powstaje problem wyposażenia kościoła.

APEL

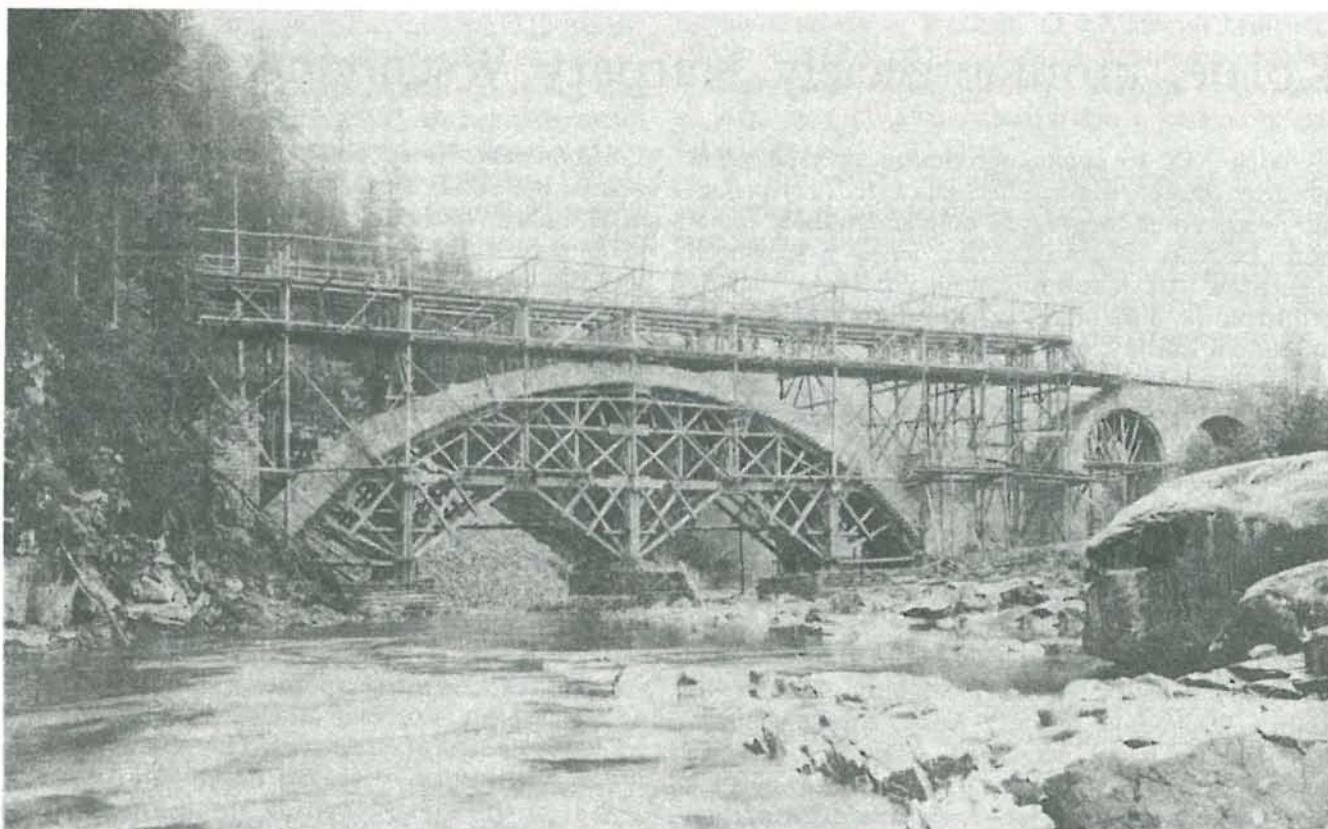
Rzucam apel do członków TML zamieszkałych dziś we wszystkich uzdrowiskach RP: Krynicy, Zakopanem, Rabce, Szczawnicy, w jeleniogórskim i wałbrzyskim, w Sopocie i jeszcze wielu innych — ufundujmy naczynia i szaty liturgiczne, a może i ołtarz, i ławki? Byłby to piękny, braterski gest. Może aktywny oddział nowosądecki TML zechciałby przyjąć na siebie rolę organizatora i koordynatora tej akcji? Prosimy o listy na ten temat do Redakcji „Semper Fidelis”.

Inżynierem, który podjął się tego niezwykle zadania był Polak, Stanisław Kosiński¹. Wybudował on w Galicji Wschodniej trzy ważne linie kolejowe dochodzące do głównej grani Karpat i łączące sieć kolejową galicyjską z siecią zakarpaccą, węgierską: Stryj — Skole — Beskid (1884—1888), Stanisławów — Woronienka (1890—1895), oraz Lwów — Sianki (1900—1906). Wszystkie te trzy linie, biegnące najpierw dolinami górskich rzek (Oporu, Prutu, Dniestru), potem wspinające się na karpaccy przełęcze, narażały wiele trudności technicznych i organizacyjnych, wymagały budowy licznych mostów, wiaduktów i tuneli. Szczególnym naówczas osiągnięciem inżynierii kolejowej w skali europejskiej była linia wzdłuż Prutu (między Delatynem a Woronienką), gdzie wśród wielu innych wybudowano cztery wspaniałe mosty kamienne, przebito trzy tunele a wiele kilometrów trasy poprowadzono na kamiennych nasypach.

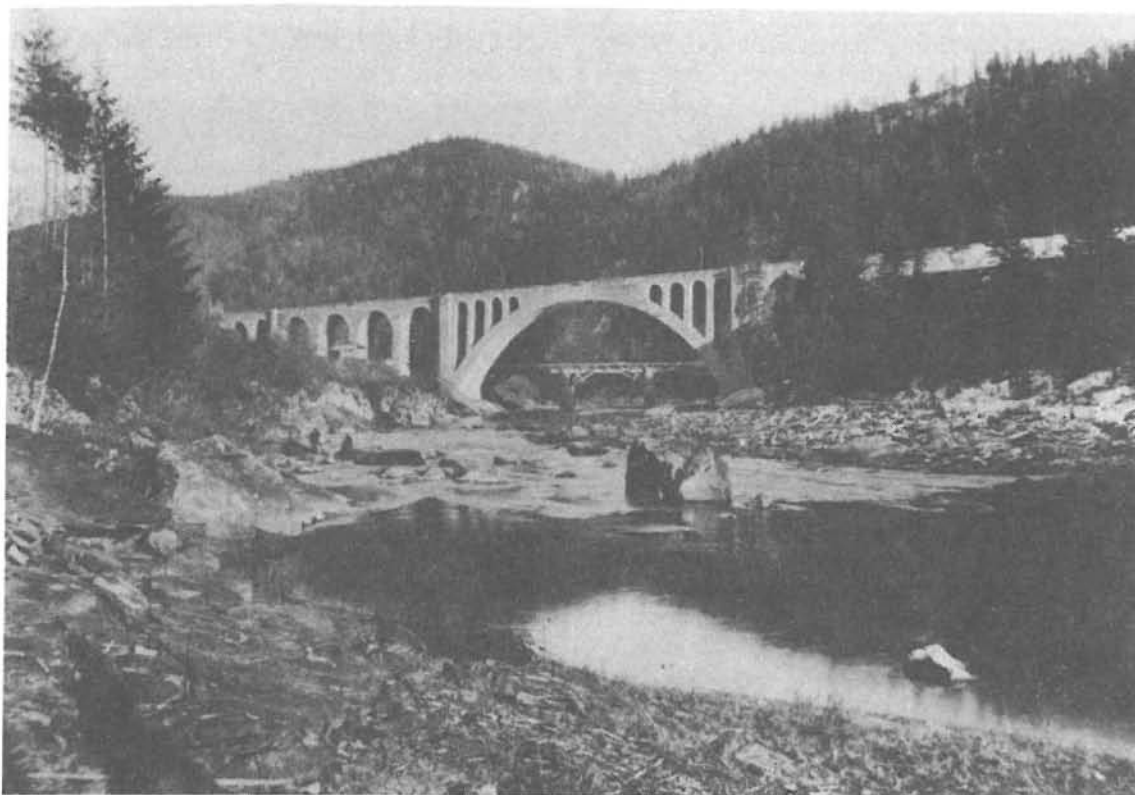
¹ 1847—1923, syn Pawła, radcy Namiestnictwa we Lwowie, urodzony w Krakowie, wykształcony na politechnice w Pradze.



Budowa kamiennego wiaduktu kolejowego



Kamienny most na Prucie w Jamnej (pod koniec budowy), linia kolejowa ze Stanisławowa do Woronienki



65 metrowy, główny łuk mostu kamiennego w Jaremczu na Prucie, trasa do Woronienki

Wszystkie mosty i wiadukty, z wspomnianymi czterema największymi na czele² – w Jamnej, Jaremczu i dwa w Worochcie, stanowiły konstrukcje łukowo-kamienne (z miejscowego materiału o doskonałej jakości), sięgające tradycją starożytności. Dzięki rozpiętości głównych łuków oraz nowatorskiej technologii stały się one wzorem dla późniejszych obiektów. Najdłuższy 150 m most-wiadukt w Jaremczu składał się z 8 łuków, z których największy nad samym Prutem o rozpiętości 65 m był zarazem największy na całym kontynencie europejskim. Palmę pierwszeństwa oddał dopiero po wielu latach mostowi na rzece Isonzo w północno-wschodnich Włoszech (obecnie w Słowenii). Budowniczości mostu w Jaremczu twierdzili, że nawet siedemdziesięciometrowy łuk nie stanowiłby dla nich trudności, nie wymagały tego jednak miejscowe warunki terenowe.

Pozostałe mosty na tej trasie, w Jamnej i Worochcie, były niewiele mniejsze (w Jamnej główny łuk miał rozpiętość 40 m). Dodatkową trudnością dla konstruktorów, a atrakcją turystyczną w Jamnej było to, że wprost z mostu wjeżdżało się do 524-metrowego tunelu.

Trasy ze Stryja do Beskidu i ze Lwowa do Sianek, mimo iż także o wybitnie górskim charakterze, miały

² Ich projektantem był inż. Zygmunt Kulka z Politechniki Lwowskiej.

inne rozwiązania. Wybudowano tu mosty klasycznej konstrukcji żelazno-kamiennej. Wiele z nich stało na bardzo wysokich filarach.

Inż. Kosiński był konstruktorem kilku innych jeszcze linii kolejowych, głównie w Galicji Wschodniej: Tarnopol – Kopyczyńce, Czortków – Zaleszczyki, Czortków – Iwanie Puste. Ostatnią jego pracą był projekt odcinka linii kolejowej w obrębie samego Lwowa, między stacjami Podzamcze i Łyczaków, gdzie dużą różnicę poziomów pokonano serpentyną. Rozwiązanie to uznano za wzór prowadzenia kolei w trudnym terenie górskim.

Po I wojnie światowej opisane trasy karpackie, ze swymi mostami, wiaduktami i tunelami, miały duże znaczenie nie tylko dla naszych województw południowo-wschodnich, ale dla całego kraju. Stały się trasami międzynarodowymi. Do 1938 r. łączyły Polskę z Czechosłowacją, a po traktacie monachijskim i powstaniu polsko-węgierskiej granicy w Karpatach Wschodnich – z Węgrami, jak za czasów c.k. monarchii. Dawały jednocześnie dogodne połączenie z całym Bałkanami.

Po II wojnie światowej koleje karpackie podzieliły los naszych Kresów. Zagarnięte wraz z tymi ziemiami przez ZSRR były dewastowane i niszczone. Brak konserwacji zrujnował zupełnie linię Stanisławów-Woronienka. Chłuba tej trasy – most w Jaremczu, wysadzony w powietrze przez Niemców w 1944 r.



Most i tunel w Jamnej w Gorganach



Dolina Prutu pod Jaremczem, wylot tunelu kolei ze Stanisławowa do Woronienki

nie został już odbudowany. Zastąpiony ohydą żelazno-betonową, pordzewiałą konstrukcją już tylko na starej fotografii przypomina o swej minionej świetności. Nie do poznania są zrujnowane, przebudowane stacje. Ruiny kamiennej stacyjki w Jamnej porosła trawa. Nie ma też drewnianego budynku dawnego dworca w Jaremczu, zastąpiono go cementowym dziwołagiem.

Linia ze Lwowa do Sianek, i dalej do Użhorodu (na Zakarpaciu) istnieje w całości. Charakter magistrali międzynarodowej utrzymała trasa ze Lwowa, przez Stryj i Skole do Munkacza (teraz Munkaczewa!). Zelektryfikowana, otrzymała drugi tor. Jeżdżą nią teraz zamknięte „na cztery spusty” brudne pociągi „Sowieckich Żelaznych Dorog” z Moskwy i Kijowa do Budapesztu, Pragi, Wiednia i Rzymu.

Wśród nielicznych pamiątek z czasów budowy i świetności kolei w Karpatach Wschodnich poczesne miejsce zajmują stare fotografie. Duży ich zbiór, będący własnością rodziny Stanisława Kosińskiego, inżyniera, który Kresy Południowo-Wschodnie oplótł siecią żelaznych dróg, został przekazany do krakowskiego Muzeum Historii Fotografii. Tworzy on jedną z najlepszych kolekcji w zasobach muzeum. Przypomina, że w Galicji, choć podległej habsburskiej monarchii, polska myśl i polskie gospodarowanie odnosiły niejednemu triumf w europejskiej skali.

Artykuł powstał na podstawie zbiorów archiwalnych Muzeum Historii Fotografii w Krakowie

STANISŁAW RAKOWSKI

Z dziejów Konwentu Dominikanów w Czortkowie

Miasto Czortków założone zostało w 1522 r. na prawie magdeburskim przez Jerzego Czartkowskiego herbu Korab w miejscu wcześniejszej osady założonej przez jego dziada Prawdotę herbu Pomian. Nazwę miasta przyjęto na pamiątkę rodowych Czartek w Wielkopolsce. Za czasów Zygmunta Starego miasto uzyskało liczne prawa i przywileje. Było wielokrotnie niszczone w wyniku pożarów i walk z Tatarami, Turkami i Kozakami. Na mocy traktatu buczackiego w 1672 r. zajęli je Turcy. Miasto wraz z częścią Podola pozostało pod ich panowaniem do roku 1683. Turcy opuszczając miasto wymordowali prawie całą ludność. Po śmierci Czartkowskiego majątność przechodziła w coraz to inne ręce. Około 1700 r. przyjęła się nazwa „Czortków”. Spadkobierczyni wdowa Katarzyna sprzedała Czortków Mikołajowi Sieniawskiemu, wojewodzie ruskiemu, a ten odstąpił miasto jednemu z najdzielniejszych wojewodów kresowych — Stanisławowi Golskiemu, herbu Rola, późniejszemu wojewodzie ruskiemu.

Nieopodal brzegów Seretu wznoszą się obszerne ruiny zamku wybudowanego przez rodzinę Golskich w początkach XVII w. w miejscu wcześniejszej warowni z XVI w. Zamek był siedzibą warowną, o czym świadczą potężne mury, liczne strzelnice i baszty.

22 lutego 1610 r. Stanisław Golski, wojewoda ruski, ufundował w Czortkowie klasztor Dominikanów pod wezwaniem św. Stanisława, biskupa i męczennika. W 1619 r. obok klasztoru wzniesiono kościół Dominikanów, przebudowany przed pierwszą wojną światową w stylu neogotyku według projektu wybitnego lwowskiego architekta prof. Sas-Zubrzyckiego. Klasztor, jako jedyna w tamtych stronach placówka rzymskokatolicka, od początku prowadził wszechstronną działalność duszpasterską zarówno w mieście, jak i okolicy. W kościele, w głównym

ołtarzu znajdował się słynny obraz Matki Bożej, który miejscowa ludność otaczała wielkim kultem.

W czasie wojen kozackich w XVII w. klasztor poniósł wielkie straty. Część zakonników wymordowano, inni umierali na skutek szalejącej epidemii. Mimo niesprzyjających warunków klasztor nadal prowadził ożywioną działalność duszpasterską i misyjną wśród ludności ruskiej.

W 1772 r. Czortków zajęli Austriacy. Konwent Dominikanów zaangażowany w sprawy patriotyczne w 1848 r. udzielił schronienia przed austriacką policją przeorowi lwowskiemu ojcu Piotrowi Korotkiewiczowi, członkowi tajnej Rady Narodowej i uczestnikowi powstania lwowskiego przeciw Austrii. Od 1850 r. o. Korotkiewicz sprawował obowiązki przełożonego klasztoru Dominikanów i uwrażliwiał cały konwent na zagadnienia polityczne. W latach 1822–1884 przeorem konwentu był uczestnik powstania styczniowego ojciec Piotr Sanojca. W roku 1880 zamieszkiwał w klasztorze ojciec Ignacy Klimowicz, który w czasie powstania styczniowego z ambony kościoła św. Jacka w Warszawie nawoływał wiernych do powstania, za co spędził na Syberii 20 lat. Innym dominikaninem znanym z działalności społecznej był ojciec Albert Nowiński, którego w 1913 r. wysunięto na kandydata do Sejmu Krajowego Galicyjskiego, na co nie wyraziły zgody władze kościelne.

W okresie międzywojennym klasztor Dominikanów czortkowskich prowadził ożywioną akcję apostołską wśród inteligencji. Odbywały się w nim zjazdy i kursy Akcji Katolickiej oraz spotkania inteligencji i zebrania okolicznego duchowieństwa. W dniu 17 września 1939 r. nastąpił niespodziany najazd wojsk radzieckich na tereny wschodnie i Czortków przeszedł pod okupację radziecką.

W roku 1939 w konwencie zamieszkiwało czterech ojców: przeor Justyn Spyrlak, proboszcz Jacek Misiuta, Hieronim Longawa i Anatol Znamierowski, oraz trzech braci zakonnych — Reginald Czerwonka, Andrzej Bojanowski, Metody Iwaniszczów oraz tercjarz Józef Wincentowicz. Władze radzieckie prowadziły ostrą walkę z polską państwowością i religią. Majątek klasztoru rozparcelowano, a inwigilacje mieszkańców klasztoru posunięto do granic absurdu. Początkowo scieśniono ich do kilku pokoi, próbując następnie usunąć ich w ogóle poza obręb klasztoru. Przy głównej bramie klasztoru postawiono strażę. Zebrani licznie 2 grudnia 1939 r. parafianie odważnie wystąpili wobec władz o pozostawienie zakonników w spokoju.

Jednocześnie władze rozpoczęły akcję eksterminacyjną wobec polskiej ludności miasta. Rozpoczęły się aresztowania, łapanki, wywózki na Syberię. NKWD było wspomagane przez ukraińskich nacjonalistów i nielicznych tu komunistów Żydów. Konwent zaczęto niszczyć ciągle podwyższanymi podatkami. W lutym 1941 r. czortkowscy zakonnicy zostali zobowiązani do zapłaty 11 820 rubli podatku. Jak na ówczesną wartość pieniądza była to kwota niewiarygodnie wysoka.

Najtragiczniejsze chwile przeżył konwent w czasie wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 r. Z całą bezwzględnością przystąpiono do likwidacji ludności polskiej. W więzieniu czortkowskim wymordowano wszystkich więźniów, wśród których najwięcej było Polaków. 1 lipca 1941 r. władze i wojska radzieckie zaczęły opuszczać miasto. W nocy z dnia 1 na 2 lipca 1941 r. funkcjonariusze NKWD wyweleli z cel ojców Justyna Sperlaka, Jacka Misiutę, Anatola Znamierowskiego i brata Andrzeja Bojanowskiego, mordując ich strzałami w tył głowy nad brzegiem Seretu w Starym Czortkowie. Oprawcy zagrozili, że wrzucą ciała do rzeki, jeśli zamordowani nie zostaną pochowani do godziny 14. Ponieważ czas naglił, zbito proste trumny i ofiary pochowano na miejscu zbrodni.

Podobny los spotkał resztę zakonników. Znaleziono ich zamordowanych strzałami w tył głowy w łózkach własnych cel. Byli to bracia Reginald Czerwonka, Metody Iwaniszczów i tercjan Józef Wincentowicz. Chcąc zatrzeć ślady zbrodni sprawcy podpalili jednocześnie klasztor. Pożar zniszczył starą część zabudowań, a nowe skrzydło zostało częściowo nadpalone. Następnego dnia ponownie podpalono zabudowania klasztorne. Spłonął wówczas tylko dach nad prezbiterium kościoła.

Wojska niemieckie wkroczyły do Czortkowa rano 6 lipca 1941 r. Wtedy też sforsowano drzwi do mieszkania na piętrze, które zajmował ojciec Hieronim Longawa. Łóżko, na którym leżał, spłonęło wraz z ciałem. Zebrano tylko nie dopalone szczątki. Zamordowanych zakonników pochowano na cmentarzu w grobowcu zakonnym i odprawiono żałobną mszę świętą. Pogrzeb ofiar prowadził ksiądz Wacław Boczar, katecheta gimnazjalny i ksiądz Wacław Szeletnicki ze Słobódki Dziuryńskiej. 13 lipca 1941 r. w niedzielę po sumie odbyła się procesja na mogiłę

ojców. Niesiono cierniowy wieniec z purpurowymi kwiatami, symbolami ich śmierci.

W roku 1943 przybyła do Czortkowa nowa ekipa zakonna, składająca się z sześciu ojców i trzech braci. Byli to ludzie młodzi i energiczni, z zapałem podjęli swe rozległe obowiązki na miejscu i w okolicach. Podjęli decyzję, aby w wyremontowanym klasztorze założyć tajne gimnazjum i liceum. Do tej pracy zaangażowali również pedagogów świeckich. Duże zasługi położyli na tym polu ojcowie Josafat Dawiskiba i Urban Szeremeta. Szkoła przetrwała całą okupację i wykształciła około 30 maturzystów.

Jesienią 1943 r. klasztor został zmuszony do wprowadzenia nocnego czuwania. Było to konieczne ze względu na nasilającą się coraz bardziej eksterminację polskiej ludności przez UPA. Z poszczególnych parafii zaczęły napływać do klasztoru ofiary napadów, w tym również zagrożeni życiem księża. Po przyjsciu po raz drugi wojsk radzieckich wiosną 1944 r. napady band ukraińskich wyraźnie się wzmożyły. Nacjonaści ukraińscy grasowali bezkarnie w nocy, w dzień dokonując samosądów na bezbronnej ludności cywilnej. W styczniu 1945 r. klasztor przyjął ludność polską z parafii Szańkowce i Szańkowczyki, która znalazła tu schronienie i opiekę.

W grudniu 1944 r. rozklejono w mieście plakaty nakazujące rejestrację na wyjazd za San. Czortków był przeludniony, gdyż usiłowało tu znaleźć schronienie coraz więcej osób z bliższej i dalszej okolicy. Przerażona napadami ludność zajęła prawie wszystkie polskie domy, zaczęto już nawet koczować na placach i ulicach. W tej sytuacji musieli wyjechać. Tak więc pod koniec grudnia 1944 r. ruszył z Czortkowa pierwszy transport Polaków na zachód, kolejne transporty wyruszyły później.

Jeżeli chodzi o klasztor, zajęto jego część na potrzeby władz, wywierając jednocześnie silną presję na zakonników w celu skłonienia ich również do wyjazdu. Mieszkańcy klasztoru wytrzymywali dość długo naciski i groźby wywózki na Syberię, lecz 13 czerwca 1946 r. i oni musieli wywieźć na stację kolejową część rzeczy. Następnego dnia po południu odebrano im klucze i kościół zamknięto. Zdążyli jednak Dominikanie odprawić w swym kościele rano ostatnią mszę świętą. W sobotę 25 czerwca 1946 r. odjeżdżających zakonników żegnał na dworcu placzący tłum ludzi. Po prawie 300 latach pracy duszpasterskiej zakon dominikanów czortkowskich przerwiał swoją działalność.

Mieszkańcy Czortkowa opuszczając swe rodzinne strony zabrali z głównego ołtarza dominikańskiego klasztoru słynący cudami obraz Matki Boskiej Różańcowej, zwanej Matką Boską Czortkowską. Obraz ten, jak głosiła wieść, ofiarował w 1663 r. Konwentowi Dominikanów w Czortkowie król Jan Kazimierz. Znajduje się on obecnie w dominikańskim kościele pw. św. Jacka w Warszawie. Tam też co roku zjeżdżają się dawni mieszkańcy Czortkowa dla podtrzymania duchowej więzi.

Dawny kościół Dominikanów czortkowskich prawie po 50 latach otworzył również swoje podwoje dla wiernych. 8 lipca 1989 r. przyjechali tu na wielką uroczystość czortkowiacy z kraju i ze świata oraz

Polacy z Podola. Śpiewano pieśni religijne i odmawiano modlitwy w języku polskim i ukraińskim. Celebrowano mszę świętą i wygłoszono kazanie również w obu językach.

Następne spotkanie czortkowiec w ich rodzinnym mieście nastąpiło 7 października 1990 r. Był to dzień uroczystości patronalnych ku czci Matki Boskiej Różańcowej. Na tę uroczystość przybyli także licznie Polacy z Podola, a nawet niektórych miejscowości Wołynia. Pielgrzymi z kraju przywieźli kopię obrazu Matki Boskiej Czortkowskiej, która zrzuceniem losu i opatrzością wróciła na dawne miejsce swego kościoła (kopię tę ufundowała rodzina Ostrowskich, pochodząca z Czortkowa).

BRONISŁAW SZEREMETA

Losy polskich żołnierzy w niewoli radzieckiej — II wojna światowa

W wojnie 1939 r. oprócz 15 000 polskich oficerów do niewoli dostało się jeszcze ponad 230 000 szeregowych żołnierzy, których wywieziono do licznych łagrów rozmieszczonych na rozległych terenach sowieckiego imperium. Jeńców tych nie mordowano wprawdzie strzałem w tył głowy, jak to czyniono z oficerami, ale wykorzystując ich jako siłę roboczą do granic ludzkiej wytrzymałości uśmiercano ich stopniowo i powoli fizyczną, katorżniczą pracą o głodzie i chłódzie. Jestem jednym z takich szeregowych żołnierzy-jeńców, przeżyłem łagry i chcę o tym opowiedzieć!

Jako podporucznik rezerwy zostałem zmobilizowany do 52 pułku piechoty w Złoczowie. Pułk ten zamiast do obrony Lwowa skierowano na granicę rumuńską. 22 września 1939 r. dotarliśmy do Tłumacza na Pokuciu. Ludność tego miasta ze strachem i niepokojem oczekiwała na wkroczenie Czerwonej Armii, gdyż z Tarnopola, zajętego kilka dni wcześniej, dotarły wiadomości o straszliwej rzezi polskich oficerów, policjantów i funkcjonariuszy państwowych. Uzasadnione obawy ludności potęgowały inne jeszcze wieści dochodzące z najbliższych okolic, gdzie uzbrojone bandy ukraińskie napadały na polskie gospodarstwa rolne, grabiły je, podpały i mordowały ich mieszkańców.

Ze względu na słabe uzbrojenie nie mieliśmy możliwości przebicia się siłą do granicy rumuńskiej. W tej sytuacji dowódca pułku major Kiczka zdecydował, by poddać się sowietom. Wieczorem otrzymaliśmy rozkaz, by rankiem dnia następnego złożyć broń. Przygotowywaliśmy się do tego przez całą noc. Wielu kolegów zdecydowało się na ucieczkę. W tym celu trzeba było zdobyć cywilne ubrania, gdyż oddalanie się od zwartego oddziału w mundurze było bardzo niebezpieczne. Na drogach czyhały bowiem uzbrojone bandy ukraińskie, mordując uciekinierów. Nie

Było też spotkanie 7 lipca 1991 r. Dawni mieszkańcy miasta przybyli tu na uroczystości związane z ekshumacją prochów zamordowanych w 1941 r. nad brzegiem Seretu dominikanów. Kondukt pogrzebowy przy biciu dzwonów z chorągwiami kościelnymi i narodowymi sztandarami przeszedł głównymi ulicami miasta w kierunku cmentarza. Prochy ojców: Justyna Sperlaka, Jacka Misiuty, Anatola Znamierowskiego i brata Andrzeja Bojanowskiego spoczęły wreszcie w dominikańskim grobowcu.

Szli razem starzy i młodzi, dawni i nowi mieszkańcy Czortkowa, odprowadzając w głębokim skupieniu ofiary zbrodni nienawiści.

udało mi się zdobyć cywilnego ubrania, musiałem więc zostać, pocieszając się myślą, że przy najbliższej okazji uda mi się uciec.

Wczesnym rankiem, po złożeniu broni, na szosie prowadzącej do Horodenki, ustawiono nas w długą kolumnę. Na przedzie szli oficerowie, za nimi podoficerowie, następnie szeregowi żołnierze. Maszerowaliśmy pod konwojem „sowieckich żołdatów”, nędznie umundurowanych — szare drelichy, brezentowe buty, nogi do kolan zawinięte czarnymi owijaczami, worki na plecach zamiast tornistrów, podpasani parciowymi pasami i z karabinami na sznurkach, w większości niskiego wzrostu, azjatyckiego pochodzenia. Przed nami i za nami groźne czołgi. Przeżyłem wówczas najbardziej przykry i upokarzający moment w życiu, który dziś jeszcze odżywa w mojej pamięci, gdy wspomnę widok polskiej kolumny doskonale prezentujących się żołnierzy w zielonych mundurach, prowadzonych przez takich oberwańców. Nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy, choć każdy dobrze wiedział, że wróg ze wschodu jest takim samym wrogiem, jak z zachodu.

Po przybyciu do Horodenki umieszczono nas na kilka dni w magazynach cukrowni bez jedzenia. O wodę musieliśmy się głośno upominać. Następnie załadowano nas do bydłych wagonów, dając każdemu do ręki słonego śledzia i kawałek chleba. Tak zaprowiantowani po dwóch dniach dotarliśmy do miejscowości Wołoczyska, tuż za Zbruczem. Tu w czystym polu na olbrzymiej przestrzeni ogrodzonej zaskakami z drutu kolczastego i pilnowanej przez uzbrojonych wartowników z psami zgromadzono dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy, szeregowych i oficerów. Zbliżała się jesień, a z nią chłody i deszcze. Biwakowanie pod gołym niebem, zwłaszcza w zimne noce, było więc niezwykle uciążliwe, ponadto jeszcze o głodzie. Czasami przywożono ciężarówkami samo-

chodami skąpe porcje chleba, lecz nie starczało dla wszystkich i trzeba było mieć nie lada siłę i odwagę, by go zdobyć wśród wygłodzonych żołnierzy. Równie trudno było o wodę, którą dowożono w beczkowozach. Po pewnym czasie zaczęło robić się luźniej w tym prowizorycznym obozowisku, gdyż zaczęto organizować kolejowe transporty więźniów w głąb Rosji. W pierwszej kolejności przystąpiono do wywózki oficerów.

Obserwowałem przywożących wodę, z jaką nienawiścią i pogardą odnosili się do polskich oficerów, wypowiadając często złośliwe uwagi pod ich adresem, że tych gadów i pasożytów ludu pracującego wywozą „na białeje niedźwiedzi”, tj. do białych niedźwiedzi na Sybir, skąd nigdy nie wrócą, a tylko prostych żołnierzy wypuszczają do domu, jeżeli ci sprawdzą się rzetelną pracą i lojalnością wobec radzieckiej władzy. To wywołało w mojej pamięci przykre wspomnienia z czasów dzieciństwa, z roku 1920, gdy to wojska polskie toczyły walkę z bolszewickimi hordami dowodzonymi przez Budionnego i maszerującymi w kierunku Lwowa. Wzbudziło to zakodowane i trudne do określenia uczucie nieufności i strachu przed bolszewikami, spowodowało wreszcie, że zdecydowałem się nie przyznawać do swego stopnia wojskowego i nie jechać z transportem oficerskim.

Żał było rozstawać się z kolegami, niektórych namawiałem, by pozostali ze mną wśród szeregowych żołnierzy, ale bez skutku. Z trudem udało mi się przekonać kolegę z ławy szkolnej, Maksymiliana Baranowskiego, by też pozostał. Byliśmy już w kolumnie oficerskiej skierowanej do przygotowanych bydłych wagonów kolejowych. Zauważyłem, że okrążający kolumnę „krasnoarmiejcy” chętnie przepuszczali każdego, kto chciał się do niej dostać, nikomu jednak nie pozwalali z niej wyjść. W pewnym momencie wykorzystałem nieuwagę konwojentów i wyskoczyłem w tłum otaczających nas żołnierzy. Kolega mój zrobił to samo. W ten sposób uniknęliśmy śmierci strzałem w tył głowy. Nazwiska niektórych kolegów załadowanych do tego transportu znalazłem później na liście katyńskiej, między innymi: kpr. pchr. Wilhelma Brulińskiego ze Lwowa i Józefa Sagana ze Złoczowa, którego nazwisko podano już w 1943 r. w lwowskiej gadzinówce wydawanej po polsku, po odkryciu grobów w Katyniu. Przy jego zwłokach znaleziono pocztówkę od matki ze Złoczowa. Major Kiczka natomiast znalazł się na liście oficerów w Starobielsku.

Po wywiezieniu wszystkich oficerów zaczęto wywozić w głąb Rosji szeregowych. Wielu jeńców, wśród których znalazłem się z kolegą, przywieziono do Nowogrodu Wołyńskiego (Zwiahła) i umieszczono w starych koszarach kawaleryjskich pełnych szczurów i robactwa. Warunki higieniczne były potworne. Na szczęście nie byliśmy tu długo, bo już w pierwszych dniach listopada wywieziono nas do Margańca Stalinowskiego koło Krzywego Rogu, gdzie mieliśmy pracować w kopalniach rudy manganu.

W tym łagrze po półtoramiesięcznej tułaczce o chłodzie i głodzie oraz strasliwym brudzie warunki wydały nam się dość znośne. Był on, jak wszystkie, otoczony zasiekami z drutu kolczastego, ze ster-

czącymi wieżyczkami dla pilnujących nas wartowników, ale były tu też baraki wyposażone w drewniane prycze, a nawet częściowo w żelazne łóżka z siennikami wypełnionymi słomą oraz z jednym kocem. Na dzienne wyżywienie składało się 400 g czarnego chleba, dwie ciepłe zupy z krupy jęczmiennej lub owsianej (po pół litra) oraz 120 g kaszy także jęczmiennej lub owsianej na obiad.

Po rozmieszczeniu nas w barakach i spisaniu personaliów już chyba po raz dziesiąty w czasie naszego pobytu w niewoli zjawili się „politruki” (polityczni wychowawcy) i zaczęli nas uświadamiać. Gdy wreszcie pojęli, że ich nauki i argumenty wcale do nas nie docierają i nikogo nie przekonują, zaczęli namawiać nas i zachęcać do rzetelnej pracy w kopalniach, która pozwoli nam wrócić do rodziny, jeżeli taka znajduje się na terenie zajęty przez Czerwoną Armie. Kto podpisze deklarację, że zgadza się zostać obywatelem radzieckim, natychmiast opuści teren obozu i zamieszka w hotelu robotniczym w mieście jako wolny obywatel. Na propozycję tę zgłosiło się kilku Białorusinów, których zabrano do miasta. Następnie podzielono nas na 25-osobowe grupy, czyli brygady robocze, i w takich grupach pędzili nas do roboty w kopalniach rudy, gdzie warunki pracy były bardzo ciężkie i prymitywne. Często zdarzały się wypadki przy pracy, nierzadko śmiertelne. Oficjalnie byliśmy wynagradzani za pracę, ale w znacznej części zarobek potracano nam za utrzymanie, tak że niewielka część zarobionych rubli trafiała do naszych rąk, za które zresztą nie można było nic kupić, ponieważ półki w sklepie były puste, a chleb tylko na kartki, i to w ograniczonej ilości. Z ludnością cywilną prowadziliśmy handel wymienny. Za własne rzeczy, które jeszcze posiadaliśmy, jak np. koce czy bieliznę, otrzymywaliśmy różne produkty żywnościowe.

Niebawem dowiedzieliśmy się, że wydobywana przez nas w wyniku ciężkiej pracy ruda manganu jest eksportowana do Niemiec i że mimo woli pracujemy na uzbrojenie naszego wroga. To wystarczyło, abyśmy przestali pracować. Bezpośrednią przyczyną przerwania pracy i rozpoczęcia strajku były święta Bożego Narodzenia, kiedy to siłą w wigilię chciano nas zmusić do pracy na nocną zmianę. Od ludności cywilnej dowiedzieliśmy się, że władze radzieckie nie uznają żadnych świąt religijnych, że w czasie świąt w ZSRR się pracuje. Przed wigilią podjęliśmy zgodną decyzję, że nikt w dzień wigilijny i podczas świąt Bożego Narodzenia nie wyjdzie do pracy.

Nie uzbrojony oddział złożony z kilkunastu żołnierzy znalazł się na terenie łagru i wtargnął do baraku, by wyprowadzić z niego wyznaczonych do pracy na nocną zmianę. Wypędzani stawiali opór, doszło do utarczek i przepychanek, które przemieniły się w bójki. Poszły w ruch deski z nar, z baraku dochodziły głośne krzyki i wrzaski. Wówczas jeńcy z całego łagru uzbrojeni w różne pałki i deski otoczyli barak. Na szczęście dowódca oddziału w porę zorientował się, czym ten incydent może się skończyć, odwołał swoich żołnierzy i wyprowadził oddział z łagru. Na tym zakończył się incydent, ale nie strajk. Teraz wszyscy wyzbyli się strachu, nabrali pewności siebie, że mogą się obronić i nikt więcej za wyjątkiem

kilku osób ogólnie pogardzanych nie wyszedł do pracy.

Administracja obozu zorientowała się, że popełniła wielki błąd i starała się to naprawić i zatuszować. Jakby nic się nie zdarzyło nadal skłaniano nas do pracy perswazją, strachem i głodem. W sporach z „politrukami” zawsze mieliśmy nad nimi przewagę, wprawiając ich w zakłopotanie pytaniami, dlaczego nas trzymają w niewoli i maltretują, czynią swymi wrogami, kiedy my nie z nimi walczyliśmy, lecz z Niemcami. Na takie pytania nie umieli nam odpowiedzieć i zwykle milczeli. Intensywnie szukali wśród nas oficerów, twierdząc, że to ich robota, iż nie chcemy pracować. Nie wykryli ani jednego, chociaż nie brakowało w obozie ani oficerów, ani podchorążych. Radzili nam, abyśmy zapomnieli o wolnej, pańskiej Polsce i zostawili mrzonki o niej, bo takiej już nigdy nie będzie. Jedyna droga, która może nas zaprowadzić do wolności w ZSRR, to tylko rzetelna praca. Nie wiem, czy to oni od Niemców, czy Niemcy od nich przyjęli hasło „Arbeit macht frei”. Próbowano też głodem zmusić nas do pracy, zmniejszono zatem dzienną rację naszego żywienia, otrzymywaliśmy już tylko „strafnyj pajok”, czyli karne jedzenie, które składało się z 300 g chleba i pół litra wodnistej zupy z krup owsianych lub jęczmiennych.

Tak przeżyliśmy zimę, dokarmiając się produktami żywnościowymi pochodzącymi z handlu wymiennego, którego pośrednikami byli pilnujący nas strażnicy. W drugiej połowie maja 1940 r. załadowano nas wszystkich do bydłych wagonów, nawet tych rzekomo wolnych zamieszkałych poza obozem, którzy zadeklarowali się przyjąć obywatelstwo radzieckie. Był to jeszcze jeden dowód na sowieckie kłamstwa i oszustwa. A ci „biedacy” uwierzyli! Niektórzy z nich zdążyli się nawet ożenić, teraz żony z płaczem żegnały ich na stacji kolejowej. W tych bydłych wagonach, w warunkach trudnych do zniesienia jechaliśmy ponad dwa tygodnie i w końcu znaleźliśmy się w Kotłasie w Autonomicznej Republice Komi. Tu umieszczono nas w olbrzymim łagrze zbiorczo-rozdzielczym („piesylnym”), gdzie spotkaliśmy tysiące polskich żołnierzy-jeńców i różnych innych więźniów politycznych, przywożonych bez przerwy z oddalonych obszarów ZSRR. Stąd też codziennie odprawiano w tajgę transporty więźniów, a na ich miejsce przybywały wciąż nowe i nowe. Nie mogę określić, jak długo trwał ten transport polskich jeńców na teren budowanej drogi kolejowej Kotłas-Workuta, ponieważ w niedługim czasie załadowano na statek rzeczny ponad tysiąc jeńców, wśród których i ja się znalazłem wraz z kolegą — Mańkiem Baranowskim. Płynęliśmy Wyczegdą dwa dni, zanim wyładowano nas na brzegu dzikiej tajgi, przez którą maszerowaliśmy kilkanaście godzin, by w końcu znaleźć się w łagrze, skąd przed naszym przybyciem usunięto trzymanych tam dotąd skazańców. W drewnianych barakach służących nam za mieszkanie były piętrowe, drewniane prycze bez sienników. Baraki te były jednym wielkim siedliskiem pluskiew, które atakowały nas nocą i w dzień. Następną plagą, bardzo dokuczliwą, były komary i małe muszki, zwane po rusku „meszka”, od których w żaden

sposób nie można się było uwolnić. Nie pomagały siatki, które zakładaliśmy podczas pracy, nie chroniły one skutecznie twarzy przed komarami, zwłaszcza zaś przed muszkami, po których ugryzieniu powstawały pod oczami granatowe plamy utrzymujące się przez dłuższy czas.

Podstawowe wyżywienie ilościowo było identyczne jak w Margańcu, z tym że „chleb” był jeszcze gorszy, lichej, o gliniastej konsystencji, a „zupa” jeszcze rzadsza, wylewająca się z czerpaczka. To wyżywienie otrzymywał każdy, kto wyrabiał ustaloną normę, kto jej nie wykonywał, dostawał porcje karne, znacznie zmniejszone. Byli jednak tacy, którzy wykonywali pracę ponad wyznaczoną normę. Otrzymywali wówczas podwójną porcję kaszy i ileś tam więcej chleba, nawet do 1 kg, co zależało od tego, ile procent „ponad” wypracowali. Zdobywanie w ten sposób dodatkowych porcji żywnościowych, osiągniętych w wyniku ciężkiej, wymagającej dużego wysiłku fizycznego pracy było bardzo niebezpieczne i nieopłacalne dla życia i zdrowia. Pracujący ponad siły szybko się wykańczali, dodatkowe marne jedzenie nie rekompensowało strat energii spowodowanych wysiłkiem potrzebnym do wykonania danej pracy. Największe szanse na przeżycie mieli ci, którzy szczydzili swe siły, nie sięgali po dodatkowe jedzenie, lecz starali się jak najmniejszym wysiłkiem fizycznym utrzymać przy racjach podstawowych.

Była to bardzo ciężka, katorżnicza praca. Tajga na szlaku, przez który miała przebiegać linia kolejowa, oczyszczono już z drzew. My pracowaliśmy przy usuwaniu i karczowaniu pozostałych pni, plantowaliśmy teren robiąc nasypy, zasypując doły i jamy, kopiąc rowy. Nie mieliśmy najprymitywniejszych środków mechanicznych, całą tę ciężką pracę wykonywaliśmy łopatami, toporami, piłami, dżaganami, za pomocą taczek i noszy. Jeśli wziąć pod uwagę, że pracę tę wykonywali ludzie ciągle głodzeni, mieszkający w potwornych warunkach sanitarnych i higienicznych, bez jakiegokolwiek opieki lekarskiej, łatwo zrozumieć, że śmiertelność była ogromna, że nawet najsilniejsi długo tu nie wytrzymywali. W tej dzikiej tajdze byliśmy całkowicie izolowani od świata zewnętrznego, nie mieliśmy ani radia, ani gazet. Korespondencja była zabroniona, zresztą nie było warunków na jej prowadzenie.

W lipcu 1940 r. po miesięcznym pobycie w obozie, kiedy jeszcze nie straciłem sił i kondycji, udało mi się stamtąd uciec. Ucieczka trwała dwa miesiące, ale dotarłem do Lwowa. Żyjąc we Lwowie pod innym nazwiskiem doczekałem okupacji niemieckiej, która uwolniła mnie od zmory ukrywania się przed bolszewickim NKWD. Podczas całej niemieckiej okupacji byłem zaangażowany w podziemnej organizacji wojskowej NOW-AK. Uczestniczyłem w akcji „Burza” na terenie Lwowa. Gdy wojska radzieckie zajęły Lwów po raz drugi w lipcu 1944 r., nie opuściłem miasta i walcząc wierzyłem, że polski Lwów musi zostać przy Polsce, jeśli ludność polska oprze się terrorowi sowieckiemu, a także ukraińskich nacjonalistów i nie opuści miasta. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że o tym, do kogo będzie należał Lwów, już w Teheranie i później w Jałcie zdecydowano.

wali Stalin oraz posłuszni mu zachodni przywódcy, tj. Roosevelt i Churchill, którzy podle oszukali swego najwierniejszego i najofiarniejszego sojusznika w walce ze wspólnym wrogiem. Drogo za to zapłaciłem, ponieważ wydany przez konfidenta zostałem aresztowany przez NKGB 5 marca 1945 r. na ulicy Lwowa i zasądzony jako oficer okręgu lwowskiego AK przez radziecki trybunał wojenny na karę śmierci, zamienioną po dwumiesięcznym oczekiwaniu na jej wykonanie w więzieniu przy ul. Zamarstynowskiej na dwadzieścia lat katorgi i pięć lat zsyłki. I tak oto znalazłem się znowu w sowieckim łagrze, tym razem o zaostrożnym reżymie, jako osądzony więzień, bez najmniejszych możliwości wydostania się z niego. Przeżyłem tam ponad 14 lat. Dopiero pod koniec marca 1959 r. odtransportowano mnie jako więźnia niebezpiecznego i niepoprawnego wroga ZSRR do PRL, gdzie w więzieniu w Łęczycy po dziesięciodniowym pobycie zwolniono mnie i w ten sposób zakończyłem swoją drugą wojnę światową, trwającą dla mnie dwadzieścia lat.

Przed rokiem dowiedziałem się, że mój kolega, Maksymilian Baranowski, który został w łagrze w 1940 r., gdy mnie udało się uciec, żyje, z armią Andersa opuścił tę „niełudzką ziemię” i po wojnie znalazł się w Anglii, gdzie ukończył politechnikę, Wydział Architektury, mieszka w Anglii i jest obecnie dyrygentem polskiego chóru przy Kole Lwowian w Londynie. Udało mi się nawiązać z nim korespondencję. Piszę, że po mojej ucieczce z łagru byli tak ściśle izolowani od świata, że tylko dzięki przypadkowi dowiedzieli się o tworzeniu w ZSRR polskiej armii przez generała Andersa. Komendantowi łagru zepsuło się radio, które naprawił mu jeden z naszych jeńców i przy okazji skonstruował mały detektor kryształkowy, dzięki któremu dowiedzieli się o umowie polsko-radzieckiej i organizowaniu armii z polskich jeńców. Administracja obozowa ukrywająca ten fakt była teraz zmuszona spełnić żądania jeńców i zwolnić ich do tworzącej się polskiej armii, co nie było sprawą łatwą, ponieważ 90% jeńców nie posiadało butów, tylko tzw. czunie zrobione ze starych opon samochodowych, odzież zaś mieli w strzępach. Po kilku tygodniach zdołano ich ubrać zaledwie w kufajki, o butach i spodniach kazano zapomnieć. Każdemu wręczono przepustkę oraz bochenek chleba na drogę i pozwolono jechać na własną rękę do tworzącej się polskiej armii.

Początkowo w łagrze tym było około 1600 jeńców, gdy go opuszczali przy życiu pozostało niewiele ponad 800, a więc połowa zginęła z głodu i wyczerpania. Pewien Rosjanin, którego spotkałem w łagrze w latach pięćdziesiątych, pracował przy budowie tej drogi od samego początku, tj. od 1937 r., jako wolny człowiek na kierowniczym stanowisku. Później „zarobił” 10 lat łagru i znalazł się ze mną w jednym baraku. Opowiadał mi, że wiosną i latem 1940 r. na teren tej budowy przywieziono ponad sto dwadzieścia tysięcy polskich żołnierzy-jeńców. Gdy jesienią 1941 r. generał Anders zaczął tworzyć armię na terenie ZSRR, połowa z nich już nie żyła. Mój rozmówca zapewniał mnie, że na trasie Kotłas-Workuta każdy ułożony podkład kolejowy kosztował życie co najmniej jed-

nego Polaka. Przecież pracowali tam nie tylko polscy jeńcy wojenni, ale także Polacy z terenów przygranicznych, tj. Kamieńca Podolskiego, Winnicy, Berdyczowa, Żytomierza, Mińska i innych, których masowo deportowano w roku 1937 na stepy Kazachstanu i na Sybir.

Trasa kolejowa Kotłas-Workuta to jeden wielki cmentarz polskich żołnierzy, nie wspominając o Polakach zamieszkałych do 1939 r. na terenie ZSRR. Zbudowana na ich kościach służyła NKGB w latach 1944–1946 do transportowania członków AK, aresztowanych i zasądzonych na długoletnią katorgę, by cierpieli, ciężko pracowali i ginęli z wyczerpania i głodu w kopalniach węgla w okolicach tejże Workuty dlatego tylko, że mieli odwagę należeć do konspiracyjnej organizacji walczącej przez wszystkie lata okupacji z najeżdżącą hitlerowskim.

Nie jest możliwe dotarcie do archiwów NKGB, z których można by dowiedzieć się bliższych szczegółów o losie polskich jeńców. Jedynym źródłem informacji mogą być tylko relacje świadków żyjących na Zachodzie, byłych jeńców wojennych, którzy dostali się do armii Andersa i wyrwali się z tej „niełudzkiej ziemi”. Można by jeszcze zdobyć wiadomości od żyjących w Polsce, którzy nie zdążyli wstąpić do armii Andersa i znaleźli się u Berlinga, jeżeli uniknęli śmierci w masakrze pod Lenino, przygotowanej im przez Stalina. Wysłał ich źle uzbrojonych, słabo wyszkolonych i nie przygotowanych do walki na froncie, pod ogień niemieckich armat, by w ten sposób pozbyć się niewygodnych świadków.

Z nowych wierszy lwowskich

JERZY MASIOR

Dysertacja na temat bramy

Dowodów na to nie ma
króciutkiej dysertacji
nikt nie napisze
lecz to jest pewne
że w czterdziestym czwartym
(w tym mieście zawsze pachniały bzy
a więc miesiąc obojętny)
z kamienicznej bramy na Konopnickiej
wyniesiono na rękach dziecko
tylko kto
matka
ojciec
Wypędzono małeństwo
ślizkiej płci żeńskiej
zabroniono dorastać na Snopkowie
na Pohulance pod Kopcem
być może Urszulanką może Nazaretanką
Strzałkowska była najbliżej
na Leśną pewnie by trafiła
na Górny Łyczaków
To może być tematem dysertacji
uczuciowej

Nowy Sącz 23 III 1992

Malarskie pasje Feliksa Lachowicza

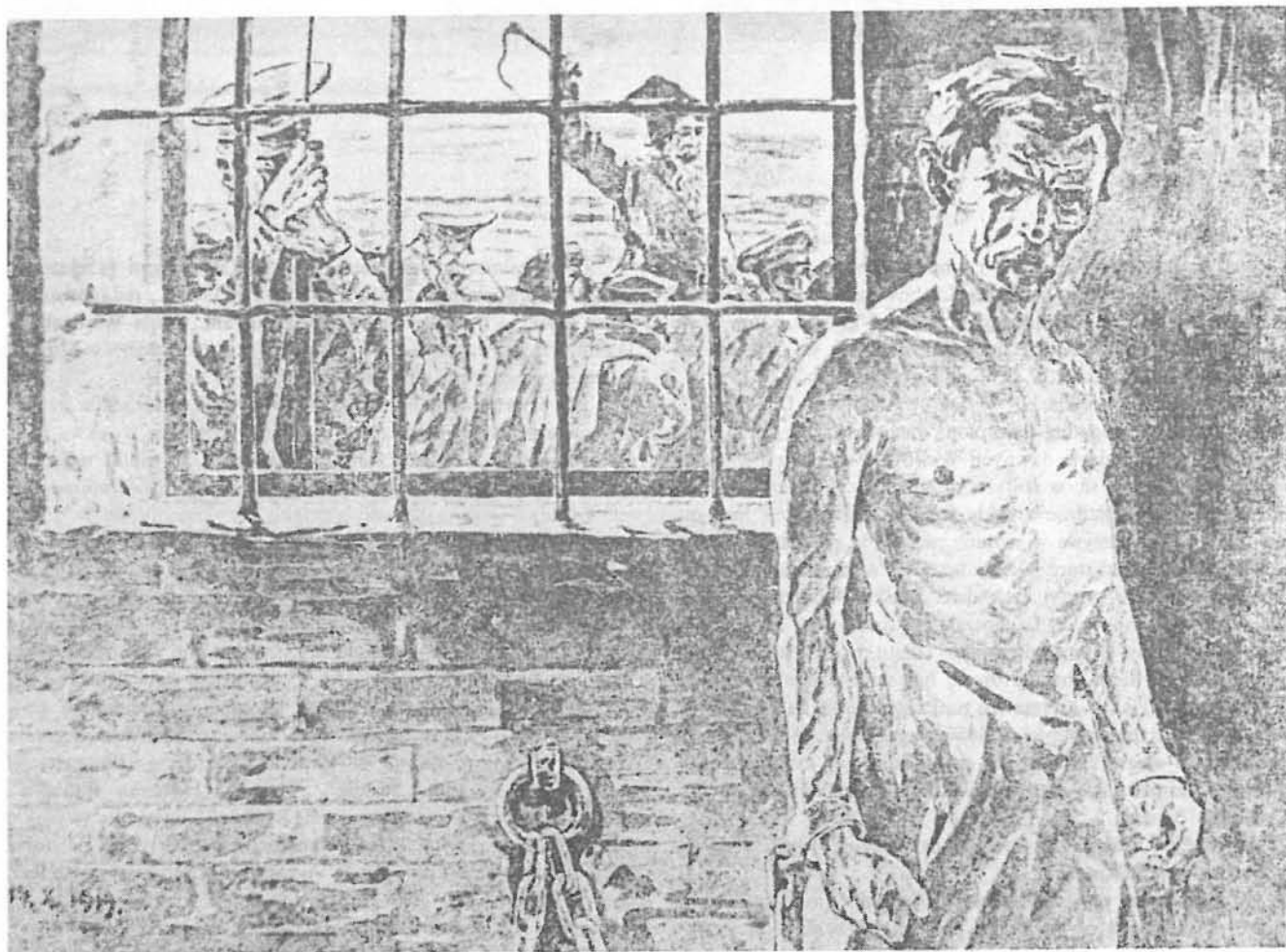
Powrót z ukrycia

W listopadzie 1989 r. w Galerii na Mariackiej w Szczecinie otwarto wystawę prac malarskich niezwykłego artysty Feliksa Lachowicza, będącą — jak określono w katalogu — syberyjskim szkicownikiem lat 1914–1920. Jej tytuł... *Pozostały tylko obrazy*, bo autor nie żyje. Zginął na nieludzkiej ziemi tylko dlatego, że był polskim patriotą. Ziemia ta budziła zachwyt artysty nad urodą jej kształtu oraz lęk i przerażenie męczonego na niej człowieka.

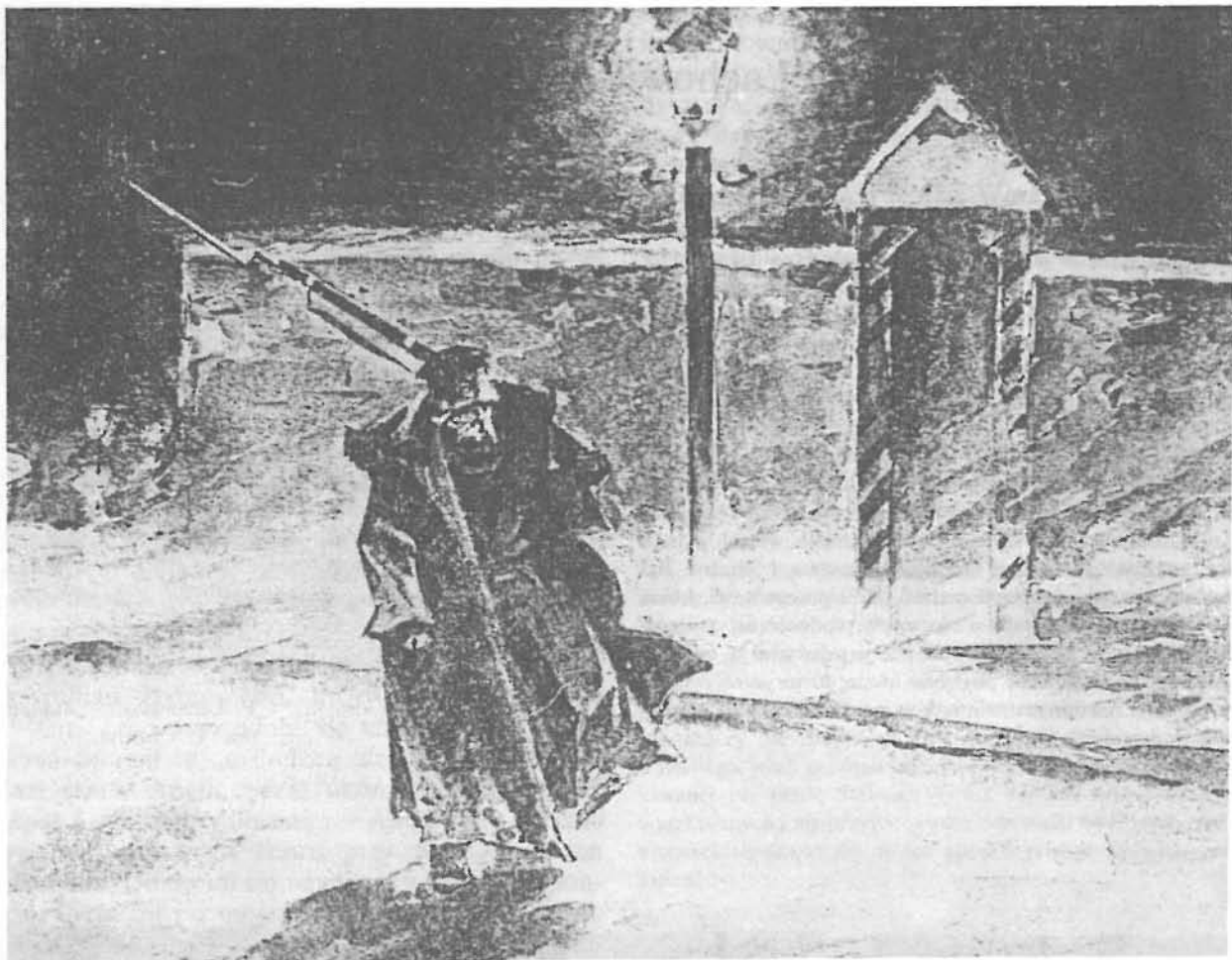
Urodził się 20 listopada 1885 r. w Drohobyczu. Od najmłodszych lat przejawiał wielkie zainteresowanie sztuką, obdarzony wyjątkowym talentem. Studiów na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie nie ukończył z przyczyn majątkowych. Jako technik budowlany kierował robotami w przedsiębiorstwie naftowym „Galicja” w Drohobyczu. Wszystkie wolne chwile wiązał jednak z pracą twórczą w zakresie grafiki, malarstwa i rzeźby. Był człowiekiem nie tylko wielkich marzeń, ale i pracowitości, która wyzwoliła w nim umiejętność i niezwykłą płodność artystyczną. Młody Feliks słuchał głosu natury jak poezji, przeżywał ją, twórczo interpretował. Równocześnie pogłębiał wiedzę historyczną o kraju i swym regionie rodzinnym, zainteresowany starodrukami i dokumentacją archiwalną.



F. Lachowicz — *Autoportret*
(fot. T. Czarny)



F. Lachowicz — *W turmie*
(fot. T. Czarny)



F. Lachowicz — *Tiurma*
(fot. T. Czarny)

Już w październiku 1934 r., na pierwszej wystawie prac w salach drohobyckiego ratusza, Lachowicz zwrócił na siebie uwagę Bruno Schulza, wybitnego prozaika i grafika, który wiele ciepłych słów pod adresem malarza zamieścił w „Przeglądzie Podkarpackim” z dnia 2.12.1934 r., pisząc m.in:

„Nie szukając poklasku świata, pracuje (w Drohobyczu) z benedyktyńską, pogodną i skupioną żarliwością dziwny artysta zakochany w legendach dawnych wieków, zasłuchany w szmer przeszłości, grzebiąc się w starych dokumentach, szperając w archiwum miejskim, śledząc zblakły inkaust kościelnych zapisów. Pan Lachowicz przeżywa w wizjach przeszłość miasta. P. Lachowicz pilnie studiował stare polskie mszały, ewangelie i kodeksy i wżył się głęboko w styl tych dzieł sztuki iluminatorskiej, że przejął go na własność. P. Lachowicz ma nieomylny, mistrzowski smak dekoracyjny. Zharmonizowanie tekstu, ornamentu i obrazu dokonuje się u niego instynktownie bez najmniejszego wysiłku.

Wydaje się, jakby artysta ten natknął w sobie na bogatą żyłę inwencji, której przelewanie się ledwo opanować może. Niewątpliwie jest to niezwykle zjawisko epigonizmu czy atawizmu artystycznego, reinkarnacja starej sztuki iluminatorskiej i jej powrót w naszych czasach.

W naszych czasach nerwowości, dorywczości i pośpiechu jest to zjawisko wyjątkowe.

P. Lachowicz powinien sobie zdobyć imię we współczesnej grafice polskiej, jest on na swym polu chyba bezkonkurencyjny. Wyrażamy nadzieję, że miasto nasze nie pozwoli się wymknąć sposobności nabycia tej prawdziwie monumentalnej pracy osnutej dookoła jego historii”.

Żywe zainteresowanie tematyką F. Lachowicza przejawiały szkoły. W kwartalniku „Młodzież” nr 4 z 1934 r., redagowanym przez uczniów Państwowego Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły i II Prywatnego Gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Drohobyczu zamieszczono wzmiankę:

„W październiku br. urządził p. Feliks Lachowicz w salach ratusza wystawę swych prac malarskich. Trzonem wystawy była malowana historia miasta Drohobycza, rodzaj kroniki w formie kart iluminowanych rękopisów. Praca ta, zakrojona monumentalnie, zdradza wiele najlepszego smaku i wglębenia się w ducha dziejów. Wystawę zwiedziły wszystkie szkoły. Budziła ona żywe zainteresowanie młodzieży i była źródłem prawdziwej artystycznej biesiady w mieście pozbawionym tego rodzaju emocji”.

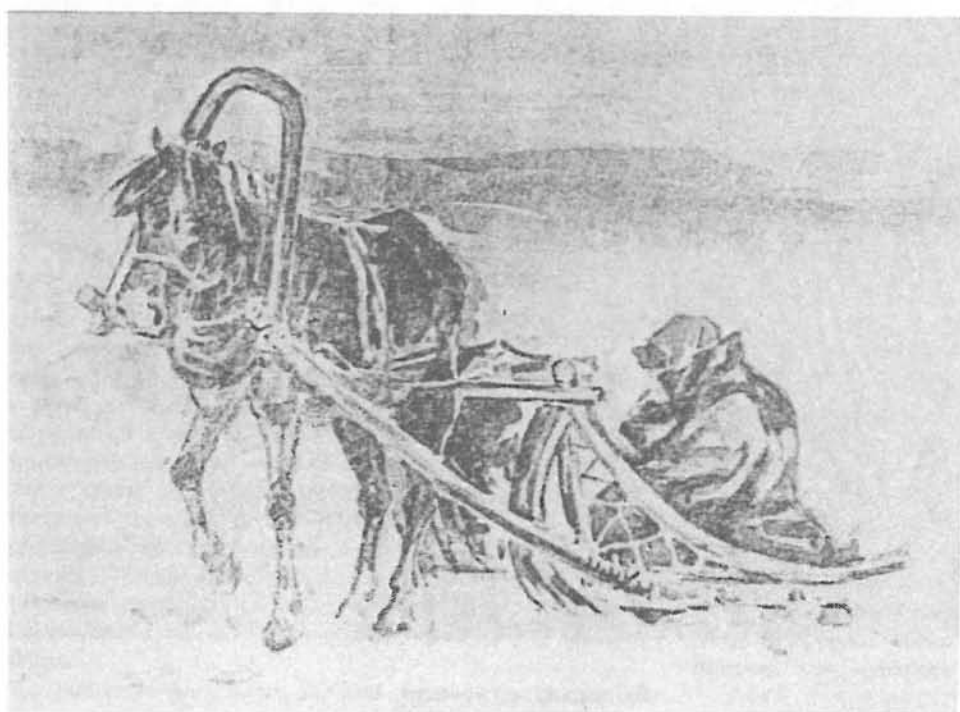
To wiele znaczyło dla artysty i wzmacniało jego drogę twórczą, przekonało o potrzebie wyjścia ze swym dorobkiem poza rodzinne strony.

23.3.1937 r. pisała o malarzu na łamach „Dziennika Polskiego” Janina Kilian-Stanisławska, uznając, że cykl „Legenda Urycza” kładzie nacisk nie na treść, lecz na formę i kompozycję. Takie miniatury, jak „Tkacze”, „Uczta”, „Ucieczka Buniaka”, „Zemsta Murzy” i „Buniak pod Byczem”, wykazują wysokie wartości świadczące o dużych możliwościach artysty. „Historia Drohobycza” natomiast jest — w ocenie Stanisławskiej — tak ścisłym reportażem historii tego miasta, że należy podziwiać szczodrość i wierność historyczną autora cyklu.

Recenzje J. Kilian-Stanisławskiej z „Dziennika Polskiego” (23.3.37) powtórzono w katalogu wystawy Lachowicza, urządzonej w Domu Artystów Plastyków we Lwowie w 1937 r.



F. Lachowicz — *Odpoczynek powstańców*
(fot. T. Czarny)



F. Lachowicz — *Sanki*
(fot. T. Czarny)

Cykl syberyjski Lachowicza wynikał z faktu, że jako żołnierz armii austriackiej brał udział w I wojnie światowej i na froncie karpackim dostał się do niewoli rosyjskiej. Znalazł się w obozie jenieckim w Semipałatyńsku. Tenże obóz otwierał jego syberyjską wędrówkę przez stacje Małowładymirka (1915), Poklewskoja (1916), Kamyszlów (1917). W 1917 r. został zapewne zwolniony, bo – jak wynika z przekazów – w tamtejszym Domu Polskim wystawił wówczas swoje rysunkowe prace.

Następowały rewolucyjne przemiany i zmagania na rosyjskiej ziemi, jakie niosła historia tamtych lat. F. Lachowicz wstąpił do oddziałów tworzącego się w Samarze (obecnie Kujbyszew) Wojska Polskiego, będącego pod zwierzchnictwem płk Waleriana Czumy. Był żołnierzem drugiego pułku V Dywizji Strzelców Syberyjskich. Dywizja wchodziła w skład Armii Polskiej we Francji, podległej gen. J. Hallerowi. Współdziałała z Korpusem Czechosłowackim, który walczył pod rozkazami adm. Aleksandra Kołczaka. Wzdłuż transsyberyjskiej magistrali kolejowej Feliks Lachowicz utrzymywał swoje spostrzeżenia. W jego szkicowniku kolejne stacje pobytu to Nowomikołajewsk (ob. Nowosybirsk), Jurga (1919) i Krasnojarsk (1920). Swoją dorobek twórczy szczęśliwie przewoził ze sobą. Są to zachowane rysunki, akwarele o tematyce syberyjskiej, z obozów jenieckich i szlaków walk swej dywizji, karykatury żołnierzy i oficerów z tej dywizji – które wystawił w 1919 r. w Nowomikołajewsku, dalej szkice portretowe, uroczne pejzaże, sceny rodzajowe z życia tamtejszej ludności i jej architektura wiejska, a także zdarzenia z rewolucyjnych walk. Powstały też prace wynikające z tęsknoty za Polską i wolnością, przepojone głębokimi przeżyciami serca i umysłu – pełne alegorii, symbolizmu i wewnętrznych rozterek, wzlotów i załamań. Był przecież Lachowicz żołnierzem i zesłańcem.

Po klęsce armii A. Kołczaka, rozbiciu V Dyw. Strzelców Syberyjskich, resztki żołnierzy w wyniku uzgodnień dyplomatycznych repatriowano do Francji. 1 lipca 1920 r. 120 oficerów i 800 żołnierzy przepłynęło niemieckim statkiem z Rygi do Szczecina. F. Lachowicz zapewne był wśród nich, bo jako były żołnierz austriacki przedostał się stąd do Drohobycza. W rodzinnym mieście mógł już oddawać się pracy zawodowej i twórczej przez niespełna 19 lat do tragicznego września 1939 r. Znany był w Drohobyczu z działalności patriotycznej jako naczelnik Drużyny Bartoszewej.

Dobrze się stało i na szczęście dla naszej kultury, że władze miejskie Drohobycza przed 1939 r. nie zakupiły prac artysty. Dzięki temu zabezpieczone w czasie okupacji przez Władysława i Marię Kloś – siostry żony F. Lachowicza – są obecnie w Polsce. Chodzi przede wszystkim o dwa cykle: „Legenda Uryczy” i „Legenda Drohobycza”, które kwalifikowały się do przekazania na rzecz miasta.

Feliks Lachowicz przeczuwał zapewne swe losy i prosił rodzinę o zabezpieczenie zbiorów. Miał wielkie doświadczenie życiowe i orientował się w sytuacji. Zaangażowany po 1939 r. w działalność konspiracyjną w okupowanym mieście, został w kwietniu 1940 r. aresztowany w Drohobyczu przez władze radzieckie. Przebywał w więzieniu w Kijowie, ostatni list wysłał do rodziny 14.03.1941 r. W tym czasie małżonkę jego wraz z córką Wiesławą wywieziono już na Sybir.

Po agresji Niemiec na ZSRR losy jego nie są znane. W tym okresie – jak wiemy – jeńcy polscy i więźniowie polityczni byli likwidowani przez NKWD. Utracił życie i nikt nie wie, gdzie został pochowany. Sprzyjający mu Bruno Schulz zginął w 1942 r., zamordowany w drohobyckim getcie przez niemieckich oprawców.



F. Lachowicz – Skazańcy
(fot. T. Czarny)



F. Lachowicz — z cyklu „Legenda Drohobycza”
(fot. T. Czarny)

Druga wojna światowa przerwała tak dobrze zapowiadającą się twórczość Feliksa Lachowicza. To, co pozostało, stanowi jednak spory dorobek. Wiele prac ma dziś wartość historyczną. Jest to doskonały materiał ikonograficzny dla historyków sztuki do badań nad kulturą i sztuką polską Galicji Wschodniej. Malował rozmodlone pięknem kościoły, a sfera *sacrum* była mu bliska w penetracji artystycznej. Zachowały się wyjątkowo cenne akwarele przedstawiające wnętrza kościołów, m.in. drohobyckich. Autor ukazał cały wdzięk architektury wnętrz, rzeźb i ołtarzy. Pozostawił wspaniałe pejzaże z zabudową zabytkową i wiejską, przedstawiał uroki ziemi rodzinnej. Szczególną uwagę zwracając czystość i intensywność koloru, rzadko osiąganą w akwareli. W okresie studiów fascynował się zapewne sztuką Młodej Polski i symbolizmem. W niektórych pracach widać wpływy Malczewskiego.

Twórczość Lachowicza jest dziś wyjątkowym kluczem do

historii regionu, w którym się urodził. Ukochał te ziemie i rodzinny Drohobycz. Miastu temu dał cały swój talent, a dorobek twórczy jest ważkim wkładem w wartości artystyczne kultury polskiej w Galicji Wschodniej. To piękna historia artysty, który dzięki własnej twórczości rósł wewnętrznie, rozwijał się i doskonalił. Twórczość uznał jako obowiązek nie tylko wobec społeczności, w której działał, lecz również wobec siebie. Może nawet coś więcej jak obowiązek. Miał wielką pasję i cierpliwość twórczą, wprost benedyktyńską, jak zauważył Bruno Schulz. Wymagał od siebie, bo talent jest darem Łaski. Dlatego tworzył, aby nie grzeszyć wobec kultury swego regionu, choć wiemy, że pracował w innym zawodzie. Winniśmy przeto cenić to posłannictwo artystyczne.

Po wojnie dzięki staraniom córki artysty dr W. Lachowicz-Podemskiej polskie społeczeństwo może podziwiać na wystawach twórczość tego wybitnego artysty-żołnierza dopiero od 1988 r.



F. Lachowicz — z cyklu „Legenda Drohobycza”
(fot. T. Czarny)

Na otwarciu w 1989 r. wystawy tematycznie związanej z syberyjskim szlakiem artysty była wraz z rodziną pani Elżbieta Lachowicz — żona artysty — mieszkająca w Szczecinie.

Wystawa głęboko wzruszała i fascynowała nie tylko swą treścią. Ukazała wielką osobowość artysty i ogrom włożonej pracy w tak trudnych warunkach syberyjskich.

W roku 1991, gdy mijała 50 rocznica śmierci artysty, zorganizowano dwie ekspozycje jego dorobku artystycznego. 13 marca otwarto pierwszą wystawę w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej, a 4 października w Muzeum Historycznym we Wrocławiu. Obie wystawy były wielkim przeżyciem artystycznym i patriotycznym przede wszystkim dla Polaków zrzeszonych w Kołach Drohobyczan, Sybiraków i Towarzystwa Miłośników Lwowa. Wystawę odwiedzili badacze twórczości Feliksa Lachowicza, pró-

bując dokonać analizy dzieł i osobowości tego wspaniałego Polaka — artysty i żołnierza, odznaczonego Krzyżem Niepodległości. Powinni oni sięgnąć również do dokumentacji rodzinnej, którą z pietyzmem przechowuje córka malarza, zwłaszcza do zapisków i notatek z pobytu w Rosji w okresie rewolucji 1917 r. Wiesława Podemska dysponuje dorobkiem twórczym ojca w zakresie malarstwa, rysunku, grafiki i płaskorzeźby, bo i taką się zajmował.

Feliks Lachowicz w pełni zasługuje, by zająć godne miejsce w polskiej historii sztuki. Podczas otwarcia wystawy prac Lachowicza we Wrocławiu pan Władysław Mazur przekazał wiadomość, iż sam był więziony w Kijowie na Łukianówce i w maju 1941 r. widział Feliksa Lachowicza w transporcie więźniów kierowanych do jednego z łagrów nad Peczorą. Artysta nigdy stamtąd nie powrócił.



F. Lachowicz —
Dzwonnica cerkwi św. Jura w Drohobyczu

APEL

Społeczny Komitet Odbudowy Kościoła Najświętszej Marii Panny w Kopyczyńcach, działający przy Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich w Elblągu, zwraca się z uprzejmą prośbą o pomoc w odbudowie kościoła.

Kościół ten przez 50 lat wykorzystywany jako magazyn został przekazany przez tamtejsze władze społeczności polskiej w stanie kompletnie zdewastowanym. Trzeba go odbudować!

Jest on niezbędny Rodakom zapomnianym przez Ojczyznę, Rodakom, którzy się Jej nigdy nie wyrzekli, Rodakom, którzy są wierni ziemiom, na których się urodzili, a której nigdy nie opuścili. Przed tymi ludźmi trzeba się nisko pokłonić za ich oddanie, wierność, odwagę i wytrwałość.

Zebrane dotychczas datki pozwoliły przede wszystkim na remont dachu, zakup niezbędnych urządzeń i szat liturgicznych, pozwalających na prowadzenie duszpasterskich powinności.

Oddane do użytku kościoły są bastionami polskości na Kresach Wschodnich, tak chlubnie zapisanych w historii Najjaś-

niejszej Rzeczypospolitej. Tworzą one pomost do pojednania zwaśnionych dotąd narodów ukraińskiego i polskiego.

Naszym Rodakom trzeba pomóc. To wzniosły cel!

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: PKO Bank Państwowy Elbląg nr 17516-128586-132, Społeczny Komitet Odbudowy Kościoła NMP w Kopyczyńcach, ul. Moniuszki 2, 82-300 Elbląg.

Jednocześnie informujemy, że płatnicy podatku dochodowego zgodnie z ustawą z 1989.01.31 o podatku dochodowym od osób prawnych (Dz. U. nr 3 poz. 12/89) oraz ustawą z 1991.07.21 o podatku dochodowym od osób fizycznych (Dz. U. nr 80 poz. 350/91) mogą dokonywać darowizn na cele kultu religijnego do wysokości nie przekraczającej 10% dochodu.

Za zrozumienie i okazaną pomoc — staropolskie Bóg zapłać.

Społeczny Komitet Odbudowy
Kościoła NMP
w Kopyczyńcach

Wśród starych atlasów i map Biblioteki Ossolineum

Kolekcjonowanie map miało ongiś we Lwowie dość bogatą tradycję. Zbierali je — często wraz z książkami — moiżni mieszczanie, bibliofile i badacze różnych dyscyplin wiedzy. Motywy bywały rozmaite: w celach zgola użytkowych — bądź jako pomoce w podróżach czy podczas lektury książek, bądź jako dokumenty będące przedmiotem studiów naukowych. Pośród lwowskich zbieraczy jednym z pierwszych był zamożny patrycjusz Hanusz Alembek żyjący w XVI w. W późniejszych czasach mapy gromadzili: Ignacy Łoś, Aleksander Czołowski, Władysław Łukaszewicz, Eugeniusz Romer. Co najmniej kilkaset map zawierały biblioteki rodowe Baworowskich i Dzieduszyckich z Poturzyca. Lista prywatnych kolekcji lwowskich byłaby zapewne dłuższa, gdybyśmy posiadali pełniejsze dane. Mapy zbierały ponadto niektóre instytucje naukowe. Właśnie dzięki nim Lwów plasował się w czołówce ośrodków kartograficznych Polski międzywojennej. I tak, liczne stare mapy posiadały archiwa kapitulne, miejskie, krajowe oraz Biblioteka Uniwersytetu Jana Kazimierza. Największy zespół dawnych planów Lwowa mieścił się w muzeum historycznym miasta, współczesne atlasy i mapy gromadziły natomiast instytucje: Geograficzny UJK i Kartograficzny im. E. Romera. Najzasobniejsza była jednak kolekcja Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Według sprawozdań Biblioteki kolekcja ta w 1938 r. liczyła 3075 egzemplarzy, co stawiało ją w rzędzie najbogatszych w mapy księżnic polskich.

Ossoliński zbiór kartograficzny wyróżniały godne przypomnienia właściwości. Przede wszystkim był on częścią przekazanej narodowi w 1817 r. ogromnej biblioteki, jaką od lat jeszcze w Wiedniu systematycznie gromadził jej twórca i fundator Zakładu Józef Maksymilian Ossoliński. Cenna darowizna składała się m.in. z około 230 atlasów i map będących załącznikiem późniejszej kolekcji. Wzorem ówczesnych bibliotek naukowych mapy te merytorycznie nawiązywały do profilu historyczno-literackiego całego lwowskiego księgozbioru. Ich wyraźnie użytkowa funkcja odzwierciedlała główne tendencje epoki oświecenia. Trzonem zbioru kartograficznego J. M. Ossolińskiego były atlasy i mapy ogólne — geograficzne i historyczne oraz karty obrazujące różne terytoria. Dominowały kraje europejskie, w tym również mapy ziem polskich. Ofiarowując tego rodzaju materiały miał w zamyśle nasz fundator dosyć szczególną intencję. Pragnął mianowicie zrekompensować dotkliwe stratę powstałą w wyniku zagrabienia przez Rosjan publicznej Biblioteki Żałuskiej wywiezionej wraz z pięknym zbiorem map do Petersburga w 1795 r. Dla ścisłości dodajmy, że znaczna część map tej Biblioteki przepadła dużo wcześniej. Wypożyczone bowiem Janowi Maurycem Brühlowi (brat ministra), który zamierzał wydać atlas Sarmacji, po jego śmierci (1755) nigdy już do Polski nie powróciły.

Warto przypomnieć również wielką ofiarności społeczną, dzięki której sukcesywnie rosła liczba ossolińskich kartografików. Dość powiedzieć, że od chwili otwarcia Zakładu w 1827 r. do końca lat trzydziestych XX w. same tylko dary powiększyły stan zbiorów o ponad 2 tysiące atlasów i map, co stanowiło blisko 70% kolekcji z 1938 r. Jednym z pierwszych tego rodzaju nabytków był wspaniały sześciotomowy atlas Blaeu'a z połowy XVII w., ofiarowany przez komisarza sejmu galicyjskiego Jana Batowskiego. Dzieło to jest obecnie w Polsce jedynym egzemplarzem. W 1864 r. Mieczysław Potocki przekazał cenny siedemnastowieczny atlas Merkatora-Hondiusza, a w 1884 r. Tadeusz Sulimski wielką mapę Polski Rizzi Zannoniego z 1772 r. Choć niewiele darów przedstawiało równie wysoką wartość, godną uwagi jest postawa licznej rzeszy ofiarodawców pragnących wzbogacić narodową księżnicę. Na ich liście (około 100 osób) znajdziemy wiele znamie-

nitych nazwisk: Henryk Lubomirski, Joachim Lelewel, Włodzimierz Dzieduszycki, Wojciech Kętrzyński, Maksymilian Nowicki, Władysław Bełza, Tadeusz Wojciechowski i inni. Bywało, że poszczególne darowizny wydatnie zwiększały ossolińskie zasoby. Tak np. dar Lubomirskich z 1868 r. przysporzył Zakładowi 485 atlasów i map, kolekcja Stefana Koźmy (1881) około 500 jednostek, a przekazany w 1921 r. przez Jana Gwalberta Pawlikowskiego największy ongiś w Galicji zespół kart dawnej Polski aż 678 map.

Spory udział kartograficznych poloników to kolejna cecha zbiorów Ossolineum. Kolekcjonowano je wszakże zgodnie z narodowym charakterem Biblioteki. Ten zaś miał swoje źródło nie tylko we wspomnianych wyżej intencjach fundatora Zakładu, ale także w patriotycznej postawie zbieraczy zrodzonej w czasach zaborów. Jej wyrazem było m.in. gromadzenie starych map Polski. Utworzona właśnie w tym duchu kolekcja Pawlikowskich miała duże walory naukowe i poznawcze. W jej skład wchodziły mapy z XVI—XIX w., pięknie oprawione i opatrzone specjalnym ekslibrisem. Różnorodna tematyka i technika wykonania owych map stwarzały szerokie możliwości badawcze.

Wśród ossolińskich kartografików cenne były wielkie atlasy A. Orteliusa (XVI—XVII w.), G. Merkatora, W. Blaeu'a (XVII w.), M. Seuttera, T. Lottera, J. B. Homanna i jego spadkobierców (XVIII w.), J. Lelewela itd. Poczesne miejsce zajmowały atlasy Polski, Galicji, monarchii austro-węgierskiej oraz krajów ościennych. Liczne były mapy luźne ogólnogeograficzne i historyczne, stanowiące rzadkie i poszukiwane egzemplarze.

W czasie ostatniej wojny atlasy i mapy, wraz z całym księgozbiorem, padły łupem okupantów. Gdy na początku 1940 r. Bibliotekę Ossolineum podporządkowano Ukrainskiej Akademii Nauk, jej mapy znalazły się w nowo utworzonym dziale kartograficznym. W latach 1946—1947 w wyniku interwencji strony polskiej ówczesne władze ukraińskie zwróciły część księgozbioru Bibliotece. W zbiorach, które przywieziono wówczas do Wrocławia, było jednak zaledwie około 120 map lwowskiej proveniencji. Tę drobną część bogatej ongiś kolekcji odzyskaliśmy — jak się wydaje — dzięki przypadkowi. Ukraińcy bowiem od samego początku stanowczo odmawiali przekazania nam kartografików twierdząc, iż nie mają one wyraźnie polskiego charakteru. No cóż, mapy mają też swój własny los!

Uruchomiony w 1957 r. Gabinet Kartografii wrocławskiego Ossolineum u progu swej działalności dysponował garstką odzyskanych ze Lwowa materiałów oraz kilkutyśiecznym stosem różnej wartości nie uporządkowanych i na ogół poniemieckich map. Z prywatnego zbioru J. M. Ossolińskiego zachowały się tylko 2 pozycje, a z kolekcji Pawlikowskich jedynie 47 egzemplarzy. We Lwowie pozostało około 2960 map, a więc ponad 95% całej przedwojennej kolekcji. Umieszczono je tam w zgola prowizorycznych warunkach: ciasnym, niefunkcjonalnym pomieszczeniu i na nieodpowiednich regałach. Brak fachowego personelu uniemożliwia naukowe opracowanie zbioru, a także jego udostępnienie. Ilu jednak ukraińskich badaczy zainteresują dawne mapy Pomorza, Śląska, Wielkopolski, Mazowsza czy stare plany Warszawy, Krakowa, Poznania, Zamościa...? Pytanie to dotyczy całego zespołu poloników, których w naszym kraju nie ma zbyt wiele. Są to wszakże narodowe pamiątki ofiarowane niegdyś Bibliotece i oznaczone ossolińską pieczęcią. Przekazanie ich wrocławskiej księżnicy winno stać się kwestią najbliższej przyszłości.

Stworzone od nowa zbiory rosną systematycznie — głównie dzięki zakupom. Dary — tym razem raczej sporadyczne — stanowią przeciętnie trzecią część corocznych nabytków. Mimo to

ossolińska kolekcja liczy dzisiaj 25 tysięcy atlasów i map oraz należy do bogatszych w Polsce. Gabinet Kartografii kontynuuje dawną tradycję zbierania poloników obejmujących ziemie historycznej Polski oraz mapy współczesne. Gromadzone są też karty krajów ościennych i cenniejsze wydawnictwa odnoszące się do innych państw i regionów na świecie.

Istotną część kolekcji stanowi liczny dział atlasów. Wśród nich kilkadziesiąt tomów to cymelia, czyli dzieła o szczególnej wartości. Te kartograficzne rarytasy obrazują cztery stulecia europejskiej sztuki sporządzania map. Do jej początków nawiązuje słynna *Geografia* K. Ptolemeusza (1486), wykonana techniką drzeworytu. „Złoty Wiek” kartografii reprezentują m.in. kunsztownie wydane atlasy Orteliusa (1573, 1579, 1603), Blaeu'a (1631, 1635, 1648), Janssoniusa (1651) i Sansona (1692). Pogranicze starodawnych i nowoczesnych już map symbolizują natomiast dzieła Seutera (1736), Homanna (1748, 1752), D. Anville'a (1737) i Reilly'a (1789). Sporą grupę tworzą atlasy z XIX i XX w., bardzo różnorodne pod względem treści, zasięgu terytorialnego oraz firm wydawniczych. Charakter tych publikacji jest rozmaity: od pierwszych — dziś już klasycznych — atlasów geograficznych Stieler'a, Berghausa, Andreego, atlasów historycznych Sprunera, Droysena i Lelewela poprzez wielkie i głośne wydawnictwa, jak np. „Atlante Internationale del Touring Club Italiano”, „The Times Atlas of the World” czy „Gran Atlas Aguilar”, po najnowocześniejszy niemiecki atlas zdjęć satelitarnych Europy.

Szczególne znaczenie mają wzmiankowane już polonika. Poza kolekcją Pawlikowskich (a właściwie niewielkim jej fragmentem) w Bibliotece znajduje się bogaty dział kart Polski oraz innych map polskich autorów lub wydawców. Nie miejsce tu, by szerzej omawiać ów zbiór będący jednym z większych w Polsce. Wspomnimy tylko, że składa się on z map atlasowych i luźnych pochodzących z czasów I Rzeczypospolitej, okresu zaborów, II Rzeczypospolitej i map sporządzonych po 1945 r. Duże walory naukowo-badawcze mają atlasy i mapy specjalne, poświęcone wybranej tematyce. Obrazują one zagadnienia narodowościowe, językowe, wyznaniowe, historyczne, gospodarcze, komunikacyjne, turystyczne itp. Zwraca uwagę grupa map związanych z odzyskaniem niepodległości w 1918 r., ukazujących obszary plebiscytów i kształtowanie się granic naszego państwa.

Doniosłą wartość dokumentalno-poznawczą mają kartografika Kresów Wschodnich. Korzystający dziś z ossolińskiego zbioru dawni mieszkańcy tych ziem wykazują niekiedy zgoła emocjonalny stosunek wobec tych map. Nie ma w tym nic szczególnego, jeśli zważyć, że owe karty znaczą dla nich coś więcej niż tylko zwykły obraz wycinka Ziemi na płaszczyźnie. Są bowiem często jedynym źródłem informacji o rodzinnych stronach, szlakach walk i wojennej tułaczki. Mapy — jak stare fotografie — przywołują na pamięć minione wydarzenia, pomagają odtworzyć dawno zapomniane fakty. Cieszą się zatem niesłabnącym zainteresowaniem badaczy i miłośników Kresów, którzy studiując je sumiennie wywołują wspomnienia utraconego przed półwieczem świata.

Z interesujących nas tu najbardziej map Galicji, a zwłaszcza jej wschodniej części, Gabinet posiada zespół złożony z około 550 egzemplarzy. Są to głównie mapy atlasowe, samoistne i sekcyjne. Do pierwszych wizerunków kartograficznych tej dawnej austriackiej prowincji należy mapa Józefa Liesganiga, wielokrotnie ongiś publikowana. W Bibliotece zachował się jej pierwowzór — kolorowy rękopis z 1776 r. (1:72 000), pięknie wykonany i oprawiony w formie atlasu. Był on podstawą późniejszych wydań (są także w Gabinecie), pomniejszonych do skali 1:288 000, które ukazywały się w końcu XVIII w. i w pierwszej połowie XIX stulecia. Dużą część tego galicyjskiego zespołu tworzą mapy tematyczne, przeważnie administracyjne, pocztowe, drogowe, kolejowe, turystyczne itp. Jest wśród nich kilka edycji popularnej na początku XX w. mapy A. Herricha (1:600 000), wydawanej nakładem Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego we Lwowie. Z rzadkich i cennych pozycji wymienimy przykładowo ciekawą mapę zdrojowisk Galicji i Bukowiny z 1862 r. T. Żebrowskiego, wyznaniową mapę Galicji J. Buzka z 1900 r. oraz świetną, wysoko cenioną przez E. Romera,

wielką mapę Galicji i Lodomerii z 1896 r., sporządzoną przez S. Mejserskiego. Nowszą kartografię reprezentują m.in. bardzo dobre technicznie mapy województw lwowskiego (1930), tarnopolskiego i stanisławowskiego (1932), wykonane przez „Książnicę-Atlas”.

Wielkie znaczenie — głównie dokumentalne — mają topograficzne mapy sekcyjne. To właśnie one informują szczegółowo o wschodniogalicjskich krainach: Podolu, Nizinie Nadniestrzańskiej i Karpatach Wschodnich. W większości są to karty austriackie i polskie przeznaczone do celów wojskowych. Część z nich pamięta czasy Legionów Piłsudskiego, wojny polsko-radzieckiej i kampanii wrześniowej. Wówczas były powszechnie używane. Największe uznanie zdobyły sobie mapy Wojskowe Instytutu Geograficznego, zwłaszcza te, które ukazały się po 1927 r. Dobra przejrzystość i dokładność treści oraz wysoki poziom kolorystyki pozwalają zaliczać te wydawnictwa do szczytowych osiągnięć polskiej kartografii. W Bibliotece przechowywane są trzy podstawowe typy WIG-owskiej mapy: szczegółowe (1:25 000), taktyczne (1:100 000) i operacyjne (1:300 000). Warto zauważyć, że poza przeznaczeniem dla wojska miały one zastosowanie także w administracji, nauce i turystyce. Tej ostatniej dziedzinie służyły specjalnie opracowane w 1933 r. arkusze map szczegółowych i taktycznych. Szczególną wartość mają wydania konspiracyjne powyższych map. Sporządziła je Służba Geograficzna Komendy Głównej Armii Krajowej, oznaczając każdy egzemplarz odpowiednim kryptonimem. Sześć z nich — unikatowych dziś arkuszy — znajduje się w zbiorach Gabinetu.

Liczną grupę ossolińskich kartografików stanowią plany miast. Godny uwagi jest zespół 40 planów Lwowa i blisko 20 innych miast galicyjskich. Lwowski zespół otwiera kolorowy rękopis planu z 1801 r., niezwykle starannej roboty, ukazujący obraz przestrzenny miasta z końca XVIII w. Późniejszy rozwój terytorialny Lwowa można śledzić na jego mapach z XIX i początku XX w., dotyczących całego obszaru bądź określonych dzielnic grodu nad Pełtwią. Rangę symbolicznego dokumentu ma plan używany podczas walk z Ukraińcami w listopadzie 1918 r. Zawiera on odręcznie naniesione rozmieszczenie jednostek wojskowych. Interesująca jest grupa kilkunastu planów z okresu międzywojennego. Najpopularniejsze były wówczas plany Horbaya i plany wydawane przez romerowski Instytut Kartograficzny.

Przedstawione w wielkim skrócie ossolińskie atlasy i mapy to jedna z najstarszych kolekcji o charakterze narodowym. Jej rola i miejsce w zbiorach Biblioteki od początku istnienia Zakładu pozostały w istocie niezmienione. Od 175 lat służy ona zatem upowszechnianiu i pogłębianiu wiedzy oraz rozwojowi polskiej nauki.

Konkurs na wspomnienia kresowiaka

1. Zapraszamy do wzięcia udziału w konkursie każdego, kto związany jest z Kresami Wschodnimi bezpośrednio lub przez rodziców czy dziadków.
2. Celem konkursu jest zebranie materiału i wydanie „Wspomnień”.
3. Termin nadsyłania prac (w dwóch egz. mpisu) na adres: Klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich, 49-300 Brzeg, Rynek-Ratusz, upływa 30.09.1992 r. Prac nadesłanych nie zwracamy.
4. Przewidujemy trzy nagrody rzeczowe.

Organizatorzy zapraszają
i życzą powodzenia

Lwowskie Madonny

Ks. infułatowi dr. Wacławowi Szetelnickiemu

Po drugiej wojnie światowej z południowo-wschodnich Kresów przywieziono na teren dzisiejszej Polski niektóre znane i szczególnie cenne przedmioty kultu religijnego, a nawet całe ołtarze. Ocalono ich niewiele, ale są to niejednokrotnie przedmioty o dużej wartości historycznej i artystycznej. Dokonano tego z niemałym trudem, poświęceniem, a nieraz z narażeniem życia. Wielkie zasługi ma w tym polskie duchowieństwo, a także wiele osób świeckich. Jak doniosłe były to działania, widać dziś na podstawie losów tych dóbr naszej kultury na Kresach, których uratować nie było można: zaginęły, zostały zniszczone lub przeszły w obce posiadanie i nie wiadomo, czy kiedykolwiek uda się je odzyskać.

Uratowane obrazy i posągi, obok pełnienia roli kultowej, są dla wielu Polaków jakby pomostem łączącym ich z miejscem urodzenia czy pochodzenia przodków. Dziś jeszcze — po blisko pięćdziesięciu latach — stanowią one czynnik integrujący wysiedloną z Kresów ludność, rozszarpaną nieraz po całym kraju. W określonych dniach roku (święta patronalne, odpusty) byli mieszkańcy poszczególnych regionów spotykają się w kościołach, w których znajdują się obrazy lub posągi z ich rodzimej parafii czy po prostu z ich stron. Przykładów takich spotkań można przytoczyć sporo, np. w Gliwicach przy obrazie Matki Boskiej Kochawińskiej, w kościele św. Jacka w Warszawie przy obrazie z Czortkowa czy w Wójcicach przy ołtarzu Matki Boskiej Łopatynskiej.

Z zestawienia przekazanego mi przed kilkoma laty przez Kurię Arcybiskupią w Lubaczowie wynikało, że z południowo-wschodnich diecezji II Rzeczypospolitej przywieziono na teren powojennej Polski około 60 obrazów Matki Boskiej. Prowadząc różnorodne poszukiwania udało mi się ustalić, że tych obrazów jest co najmniej 100. Z tej liczby 80 pochodzi z archidiecezji lwowskiej, a pozostałe z diecezji przemyskiej i łuckiej (z tej ostatniej tylko kilka).

Najwięcej wizerunków MB, bo około 30, znajduje się na terenie archidiecezji wrocławskiej, w diecezji opolskiej jest ich 12, a w diecezji zamojsko-lubaczowskiej 8. Po kilka obrazów znajduje się w kościołach Warszawy, Krakowa i Gdańska, reszta zaś w różnych rejonach kraju.

Spośród 10 wizerunków przywiezionych ze świątyń Lwowa 3 znajdują się w Krakowie, po 2 we Wrocławiu i Lubaczowie, i po jednym w Gdańsku, Kaliszu i Gliwicach.

Najstarszym wizerunkiem ze Lwowa jest ikona MB Różańcowej z kościoła oo. Dominikanów pw. Bożego Ciała (ryc. 1). Stara tradycja przypisuje autorstwo tego obrazu św. Łukaszowi Ewangelicie. Wizerunek miał należeć do bizantyjskich cesarzy. W roku 987 otrzymać go miała siostra cesarza Anna Porfirogenetka wychodząc za mąż za kijowskiego księcia Włodzimierza Wielkiego. Książęta ruscy zabierali obraz na wyprawy wojenne, dlatego nazwano go MB Zwycięską. Po roku 1113 obraz miał już być w Haliczu, a około 1230 we Lwowie. Umieszczony w przyzamkowej kaplicy początkowo pozostawał pod opieką oo. Bazylianów, w 1260 r. na prośbę matki księcia, Konstancji, oddano go pod opiekę oo. Dominikanów. Wyniki najnowszych badań nad pochodzeniem obrazu zaprzeczają przekazywanej tradycji. Jest to jeden z wielu wizerunków starochrześcijańskiego wariantu Hodegetrii, rozpowszechniony przez szkołę serbsko-macedońską. Powstał zapewne w końcu XIV w. na terenie Lwowa w warsztacie nieznanego mistrza-ikonokopisty na zlecenie miejscowych Dominikanów. Namalowano go na desce. Jest najstarszym tego typu obrazem w Polsce.



Obraz MB Zwycięskiej z kościoła oo. Dominikanów pw. Bożego Ciała (obecnie w kościele pw. św. Mikołaja w Gdańsku). Fot. ze zbiorów klasztoru oo. Dominikanów w Gdańsku.

Wobec licznych znamion cudowności podjęto w Rzymie starania o koronację obrazu. Na mocy bulli Benedykta XIV dokonał jej 1 lipca 1751 r. — „na błoniach za miastem, pod obszernym i bogato strojnym namiotem” — arcybiskup lwowski Mikołaj Ignacy Wyżycki.

W latach 1745–1764, z fundacji hetmana wielkiego koronnego Józefa Potockiego, wybudowano zaprojektowany przez Jana de Witte piękny, powszechnie znany barokowy kościół pw. Bożego Ciała, konsekrowany przez arcybiskupa Wacława Sierakowskiego. Obraz MB Zwycięskiej umieszczony był w ołtarzu głównym tej świątyni. Pozostawał tu do roku 1946, kiedy w związku z wysiedleniem oo. Dominikanów przeniesiono go do kościoła pw. św. Mikołaja w Gdańsku. Obecnie znajduje się tu w lewym bocznym ołtarzu, najbliższym prezbiterium, nadal pod opieką oo. Dominikanów.

Okolo roku 1570, za pontyfikatu Piusa V, sporządzono pięć kopii obrazu MB Śnieżnej (oryginał znajduje się w kościele Santa Maria Maggiore w Rzymie), z których jedną generał zakonu Jezuitów ofiarował klasztorowi w Jarosławiu. Wobec przeniesienia prowincjatu zakonu do Lwowa przekazano tam również obraz.

Jest to wizerunek, MB z Dzieciątkiem, malowany na desce, o wymiarach 2 na 1 m (ryc. 2). Początkowo znajdował się w drewnianej kaplicy ufundowanej wraz z klasztorem oo. Jezuitów w roku 1608 przez Annę Handzłową. Po konsekracji nowego barokowego kościoła oo. Jezuitów pw. św. Piotra i Pawła w listopadzie 1630 roku obraz ten umieszczono w ołtarzu lewej nawy bocznej. W roku 1636 Katarzyna Wojnikowska i Zofia Chmielowa ozdobiły wizerunek, fundując srebrną, połączoną sukienkę wysznaną drogimi kamieniami.

W roku 1660 przed tym obrazem legat papieski Piotr Vidoni w czasie nabożeństwa, w obecności króla Jana Kazimierza, po raz pierwszy dodał do Litanii Loretańskiej wezwanie *Regina Poloniae ora pro nobis* (na co wcześniej król uzyskał zgodę papieża Aleksandra VII).



Obraz MB Pocieszenia z kościoła oo. Jezuitów pw. św. św. Piotra i Pawła (obecnie w kościele pw. św. Klemensa Dworzaka we Wrocławiu). Repr.

Po kasacji zakonu Jezuitów w 1773 r. władze austriackie zagabiły srebrną sukienkę i wszystkie wota. Gdy w 1836 r. oo. Jezuitów ponownie objęli kościół św. Piotra i Pawła, obraz MB Pocieszenia „zajaśniał nowymi złotymi i srebrnymi wotami”. Ojcowie podjęli starania o uroczystą koronację wizerunku. Dokonał jej 28 maja 1905 r. arcybiskup Józef Bilczewski.

W czasie II wojny światowej obraz MB przywieziono do Krakowa i umieszczono go w kaplicy seminaryjnej oo. Jezuitów. W roku 1974 przekazany został współbraciom we Wrocławiu, gdzie w trzy lata później arcybiskup Henryk Gulbinowicz dokonał uroczystej intronizacji wizerunku w dolnym kościele parafii pw. św. Klemensa Dworzaka; po następnych kilku latach obraz umieszczono w ołtarzu głównym górnego kościoła i obecnie tu się znajduje.

Kiedy w roku 1598 zmarła córka lwowskich mieszczan Katarzyna Domagalicz, jej dziadek — Józef Szolc-Wolfowicz — namalował obraz, który zawiesił nad grobem wnuczki na przylegającym do cmentarza murze prezbiterium lwowskiej katedry. Stąd najstarsze nazwy obrazu: MB Domagaliczowska, MB przy Cmentarzu i MB Murkowa, znanego dziś jako wizerunek MB Łaskawej (ryc. 3).

Obraz niedużych rozmiarów (61,2×44,2 cm), namalowany temperą na sosnowej desce, przedstawia MB tronuującą wśród obłoków na tle tęczęj aureoli otoczonej anielskimi główkami.

W dolnej części obrazu na tle krajobrazu z zabudowaniami Lwowa kłęczą dwie postacie: Kasia Domagalicz i jej młodszy brat.

Zdaniem Ingi Platowskiej-Sapetowej, autorki pięknej monografii o obrazie MB Łaskawej, pierwowzorem lwowskiego obrazu był miedzioryt Filipa Gallusa wg rysunku holenderskiego malarza

Antoniego Blocklandta. Jedna z odbitek tego miedziorytu znajduje się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej. Zdaje się ona bezspornie potwierdzać sugestię autorki monografii.

Przed obrazem modliła się rodzina i liczni wierni. Z czasem utrwałała się opinia, że posiada on nadzwyczajną moc, otaczano go coraz większym kultem i umieszczano w kaplicach. W ostatniej, zbudowanej przez brata zmarłej, Jana Domagalicza, obraz pozostawał 120 lat. Odbytywały się tu uroczyste nabożeństwa, tu także wznoszono dziękczynne modły za ocalenie Lwowa przed najazdem Chmielnickiego w 1648 r. i po podpisaniu ugody zborowskiej, a w roku 1651 złożono chorągwie zdobyte w bitwie pod Beresteczkiem.

1 kwietnia 1656 r. przed obrazem MB Łaskawej, przeniesionym czasowo do ołtarza głównego katedry, podczas uroczystej sumy odprawionej przez wspomnianego legata papieskiego Piotra Vidoni król Jan Kazimierz złożył słynne śluby, w których m.in. oddał kraj pod opiekę MB i „obrał na państw swoich Królową”. Po tych uroczystościach wizerunek wrócił do kaplicy Domagaliczów.

W kilkanaście lat później, w roku 1671, w obliczu groźby zajęcia Lwowa przez Turków, arcybiskup Wojciech Korczyński wywiózł obraz do Krakowa, by uchronić go przed zniszczeniem. Wówczas to, przed powrotem do Lwowa, obraz obito srebrną pozłacaną blachą. W drugiej połowie XVIII w., w czasach przebudowy katedry przez arcybiskupa Wacława Sierakowskiego, nałożono jeszcze jedną blachę — w stylu barokowym. Obie blachy zasłaniały obraz przez 230 lat, odsłonięte były tylko twarze MB i Dzieciątka.

Przebudowując katedrę arcybiskup zamierzał przenieść obraz na stałe z kaplicy do ołtarza głównego, napotkał jednak sprzeciw mieszkańców i magistratu. Miasto odwołało się do Rzymu, ale po latach sporów zapadła decyzja po myśli arcybiskupa i 11 maja 1775 r. wizerunek MB umieszczono w ołtarzu głównym. Towarzy-



Obraz MB Łaskawej z katedry pw. Wniebowzięcia NMP (obecnie w prokatedrze w Lubaczowie). Repr.

szyły temu kilkudniowe uroczystości z udziałem m.in. biskupa Ignacego Krasickiego. Dokładnie w rok później dokonano pierwszej koronacji obrazu (koronami poświęconymi przez papieża Piusa VI).

Przed I wojną światową arcybiskup Józef Bilczewski wniósł do papieża Piusa X prośbę o uznanie MB Łaskawej za patronkę archidiecezji lwowskiej (obok bł. Jakuba Strzemię).

Na zlecenie arcybiskupa znany malarz lwowski Stanisław Batowski i jego brat Zygmunt, historyk sztuki, odnowili obraz MB Łaskawej. Zdjęto też wówczas obie nałożone niegdyś na obraz blachy, a twarze Maryi i Dzieciątka przemalowano w stylu secesji. Po upływie ponad dwóch wieków wierni ponownie ujrzeli cały obraz.



Obraz MB Częstochowskiej z kościoła oo. Karmelitów Trz. pw. Nawiedzenia NMP (obecnie w kościele Na Piasku w Krakowie). Fot. T. Kukiz.

Okres międzywojenny to czas wzmożonego kultu MB Łaskawej, przerwany brutalnie przez wydarzenia II wojny światowej.

W kwietniu 1946 r. arcybiskup Eugeniusz Baziak opuszczając Lwów zabrał obraz ze sobą i przechowywał go przez kilkanaście lat. Dopiero w 1974 r. znalazł się on w lubaczowskiej prokatedrze. W 1978 r. obraz poddano konserwatorskim zabiegom, których dokonał profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Józef Nykiel. Przywrócił on obrazowi pierwotny, późnorenesansowy charakter. Papież Jan Paweł II podczas drugiej pielgrzymki do kraju dokonał rekoronacji wizerunku.

Od roku 1616 w kościele oo. Karmelitów we Lwowie znajdował się obraz będący kopią wizerunku MB Częstochowskiej (ryc. 4), nabyty od malarza Szydłowskiego przez założyciela lwowskiego klasztoru – Elizeusza Niwińskiego. Wcześniej obraz był własnością rodziny Pełków, od której Szydłowski go odkupił.

W 1648 r. podczas oblężenia kozackiego kościół spłonął. Nową świątynię wzniesiono w 1727 r. Kiedy w 1784 r. władze austriackie zlikwidowały klasztor, zakonnicy otrzymali po kilku latach kościół pw. św. Michała Archanioła przy ul. Czarnieckiego. Obraz MB Częstochowskiej przeniesiono do tego kościoła i umieszczono w ołtarzu głównym, gdzie pozostawał do II wojny światowej.

W kościele św. Michała Arch., przemianowanym w 1871 r. na Nawiedzenia NMP, obok obrazu Matki Boskiej czczone były szczególnie także dwa inne: Pana Jezusa Miłosiernego i św. Judy Tadeusza. Wszystkie trzy wizerunki wraz z biblioteką i różnymi naczyniami liturgicznymi przewieziono w 1945 r. do Krakowa. Dokonali tego ojcowie Alojzy Kostyrko i Kazimierz Staszczak oraz brat Romeusz Ziółkowski.

Obecnie obraz MB z lwowskiej świątyni znajduje się w Krakowie, w kościele oo. Karmelitów Na Piasku, w lewym ołtarzu bocznym. W tym samym ołtarzu, nad wizerunkiem MB, zawieszono obraz św. Tadeusza Judy.

W drugim karmelickim kościele we Lwowie pw. św. Marcina znajdował się obraz Madonny zwanej MB Dobrej Rady (ryc. 5). W czasie przymusowej ewakuacji po II wojnie światowej wikariusz parafii ks. Bolesław Zaryczański przywiózł obraz do Krakowa i zdeponował w klasztorze oo. Karmelitów Na Piasku, a potem zabrał do Gliwic, gdzie w 1946 r., za zgodą arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, przekazał wizerunek ks. Opackiemu dla kościoła garnizonowego pw. św. Barbary.

Wśród wizerunków Maryjnych jednym z najbardziej znanych i rozpowszechnionych jest obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. W Polsce żywy kult MBNP rozpoczął się od przybycia do Mościsk w 1883 r. oo. Redemptorystów, chociaż istnieją przekazy, że kult ten w niektórych rejonach kraju istniał już wcześniej.

We Lwowie najbardziej znane były dwie kopie rzymskiego obrazu MBNP: w neogotyckim kościele przy klasztorze ss. Karmelitanek (ul. Potockiego) i w kaplicy Seminarium Duchownego (ul. Czarnieckiego).



Obraz MB Dobrej Rady z kościoła pw. św. Marcina (obecnie w kościele pw. św. Barbary w Gliwicach). Fot. ze zbioru W. Zaryczańskiego.

Tę pierwszą, pobłogosławioną przez papieża Leona XIII, przywiózł z Rzymu krakowski arcybiskup Albin Dunajewski i ofiarował Karmelitankom udającym się w 1880 r. na fundację do Lwowa (ryc. 6). Tu od początku obraz otoczony był wielką czcią i zasłynął łaskami. 25 czerwca 1939 r. arcybiskup B. Twardowski dokonał koronacji wizerunku. Ze względu na brak miejsca w małym kościele sióstr Karmelitanek uroczystość odbyła się na Wzgórzach Wuleckich. Zgromadziły się wielotysięczne tłumy wiernych, a lwowski garnizon Wojska Polskiego wystawił kompanię honorową i wydelegował oficerów do niesienia obrazu.



Obraz MBNP z kościoła ss. Karmelitanek Bos. pw. św. Krzyża (obecnie w kaplicy klasztornej w Kaliszu-Niedźwiadach). Fot. ze zbioru klasztoru ss. Karmelitanek Bos. w Kaliszu-Niedźwiadach.

Arcybiskup Twardowski miał szczególną cześć dla MBNP. W testamencie prosił, by serce jego spoczęło przy Jej wizerunku. Tak też się stało. A kiedy po wojnie siostry Karmelitanki zmuszone były opuścić swój klasztor we Lwowie, obraz i urnę z sercem arcybiskupa przywiozły do swej nowej kaplicy w Kaliszu-Niedźwiadach.

Drugi znany lwowski obraz MBNP to wizerunek z kaplicy Seminarium Duchownego. Jest to kopia obrazu z kościoła oo. Redemptorystów w Rzymie, wykonana przez Giovanniego Burchardta w 1900 r. na zlecenie ks. biskupa Józefa Webersa, rektora seminarium. Arcybiskup Twardowski w 1929 r. obraz ukoronował.

Po II wojnie światowej lwowskie seminarium musiało się przenieść do Kalwarii Zebrzydowskiej. W 1946 r. przybył tam również arcybiskup Baziak, przywołując z sobą m.in. obraz MBNP.

Gdy w 1950 r. seminarium w Kalwarii Zebrzydowskiej rozwiązano, alumnów skierowano do Krakowa, Lublina, Częstochowy i Nysy. Przy wyjeździe każda grupa otrzymała jakąś pamiątkę z macierzystego lwowskiego seminarium. Grupie krakowskiej przypadł w udziale właśnie obraz MBNP. Przez pewien czas znajdował się on w kaplicy seminaryjnej przy ul. Podzamcze, potem umieszczono go w ołtarzu kaplicy Arcybiskupiego Seminarium Duchownego przy ul. Piłsudskiego.

Podczas ubiegłorocznego pobytu w Lubaczowskim zwiedzałem kościół w Cieszanowie, gdzie wskazano mi jeszcze jeden lwowski wizerunek MBNP, w pięknej barokowej ramie, wiszący w nawie głównej po stronie prawej, tuż za prezbiterium. Przywiózł go duszpasterz lwowskiego kościoła pw. św. Marii Magdaleny ks. Józef Kłos, późniejszy proboszcz cieszanowskiej parafii. Dzieje tego wizerunku nie są mi znane.

W lwowskim pokapucyńskim kościele (u zbiegu ulic Franciszkańskiej i Kurkowej), przejętym podczas józefińskiej kasaty klasztorów przez konwentualnych Franciszkanów, w ołtarzu głównym znajdował się obraz MB Niepokalanego Poczęcia. O obrazie tym — nie wymienionym w lubaczowskim wykazie — usłyszałem w roku 1987 w Krakowie, gdzie zbierałem informacje o kresowych wizerunkach Maryjnych. Jest to kopia z drugiej połowy XIX wieku (ryc. 7), nieznanego autorstwa, jednego z licznych obrazów B. Murilla, przedstawiających MB Niepokalanego Poczęcia. Obraz przywieziono do Krakowa na przełomie 1945/46 r., znajduje się on obecnie w auli klasztoru oo. Franciszkanów.



Obraz MB Niepokalanego Poczęcia z kościoła oo. Franciszkanów pod tym samym wezwaniem (obecnie w auli klasztoru oo. Franciszkanów w Krakowie). Fot. T. Kukiz.



„Najmłodszym” spośród przywiezionych ze Lwowa obrazów MB jest kopia wizerunku ostrobramskiego, wykonana dla kościoła księży Salezjanów na Górnym Łyczakowie (ryc. 8).

Obraz namalowała siostra Maria Tadea, Felicjanka, uzdolniona malarsko amatorka, nie tworząca prac oryginalnych, ale kopiująca arcydzieła z wielką dokładnością.

Wizerunek przywieziony po wojnie przez księży Salezjanów znajduje się obecnie we Wrocławiu, w bocznym ołtarzu należącego do nich kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa (przy pl. Grunwaldzkim).

We Wrocławiu znalazła się również jeszcze inna kresowa kopia ostrobramskiego wizerunku, nie ze Lwowa jednak, lecz z Wilna, przywieziona po wojnie przez o. Zygmunta Kucharskiego. Obraz umieszczono w replice Ostrej Bramy zbudowanej specjalnie dla niego w poluterańskim kościele pw. Opieki św. Józefa, należącym do oo. Karmelitów Bosych (ul. Olbińska 1). Uznany za słynący łaskami, został — za zgodą papieża Jana Pawła II — w 1981 r. ukoronowany przez arcybiskupa Henryka Gulbinowicza.

Obraz MB Ostrobramskiej z kościoła pod tym samym wezwaniem na Łyczakowie (obecnie w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa we Wrocławiu). Fot. T. Kukiz.

SOS dla Kościoła na Wołyniu!

Zwracam się do ludzi w Polsce i za granicą o ratunek dla kościołów na Wołyniu.

Do wybuchu wojny na Wołyniu było około 200 kościołów i kaplic. Niektóre z nich wspaniałe świątynie dziś są zrównane z ziemią. Nieliczne pozostałe wołają o natychmiastowy ratunek. Kościoły bowiem znajdują się w katastrofalnym stanie, wiele z nich nie ma dachu, okien i drzwi, nie mówiąc już o wyposażeniu, jak ołtarze, obrazy czy organy. Odzyskane kościoły są nie tylko w opłakanym stanie, bez niczego, gorzej że nie mają one kapłanów, którzy zajęliby się organizowaniem życia.

Ponad 40 lat na tych terenach nie prowadził działalności żaden Kościół katolicki. Żyjący tu katolicy byli jakby zapomniani przez Boga i zastraszeni przez ludzi. Dopiero przed rokiem udało się na Wołyniu zarejestrować parafie, w których wierni odnajdują pocieszenie i nadzieję.

Pierwszym odzyskanym kościołem stała się katedra w Łucku, do której przybyły siostry zakonne z Polski i ksiądz ze Lwowa. Po odzyskaniu katedry w Łucku również inne parafie zaczęły odzyskiwać swoje świątynie: Równe, Korzec, Ostróg, Sarny, Dąbrowica, Dubno, Rokitno, Klewań, Rożyszcze, Ołyka, Lubomil, Maniewiczze i Zaturcy. Jeszcze inne czynią starania o odzyskanie swych świątyń.

Cała nowo powstała Archidiecezja Lwowska potrzebuje wielkiej pomocy tak materialnej, jak i duchowej, lecz Wołyn znajduje

się w najgorszej sytuacji. Duszpasterzuje tu obecnie zaledwie 3 księży: w Łucku, Równem i we Włodzimierzu Wołyńskim, którzy w żaden sposób nie mogą służyć swą posługą duszpasterską w innych kościołach. Dziekan wołyński ks. Ludwik Kamilewski już nie jeden raz zwracał się do arcybiskupa o pomoc. Oczekujemy więc na zgłaszanie się księży.

Przy każdej świątyni grupują się ludzie, z których większość przeszła Sybir, więzienia i w jakiś sposób ocalała od rzezi w latach 1942—1950. Dla tych ludzi kościół stanowi jedyną nadzieję.

Do kościoła chętnie garnie się młodzież, jeżeli ten kościół zaczyna żyć i działać. Tam gdzie przychodzi ksiądz, bardzo szybko organizują się katolicy i z zapalem odnawiają kościoły. Ludzie pragną poznać Boga i swoją historię. Mimo często premedytacyjnych działań nie udało się zatrzeć śladów katolicyzmu i polskości na tych terenach.

Dlatego dziś Kościół musi się podźwignąć i odnowić swe świątynie, aby te tereny dla katolicyzmu nie zostały zagubione, aby naszych świątyń nie przejęły inne wyznania, co czynią bardzo chętnie, argumentując, że nie ma na danym terenie katolików i Polaków, co nie jest prawdą!

Ksiądz Dziekan
Ludwik Kamilewski

Wspomnienia z Kosowa (woj. stanisławowskie)

Liczę obecnie 84 lata, a ponieważ pamięć po tylu latach często zawodzi, opiszę w dużym skrócie tylko te zdarzenia roku 1944, które dokładnie utkwiły mi w pamięci.

Temat ten jest bardzo trudny, bo roztrzaskanie dziś tych dramatycznych wydarzeń może być niekorzystne dla obecnego zbliżenia narodów polskiego i ukraińskiego, a to sprawa jak najbardziej dziś istotna i konieczna.

Powie ktoś, że dziś milowymi krokami zdążamy do zjednoczenia Europy, a więc niepotrzebne są sojusze obronne czy też jakiegokolwiek inne układy. Żyjemy jednak w wieku cudów politycznych i nie wiemy, czy w przyszłości cuda się nie powtórzą. Takich cudów było wiele, jednym z nich był pakt Ribbentrop-Mołotow, gdzie dwaj odwieczni wrogowie łączą się i wbijają nóż w plecy Polaków. Dlatego ostrożność nie zawadzi i jeśli Polska i Ukraina marzą o istnieniu jako niepodległe państwa, to tylko ściśle połączenie się sojuszami i układami oraz nawiązanie ścisłych przyjaznych stosunków mogą tę niepodległość zapewnić i utrwalić. Taki sojusz nikomu nie zagraża, a Polsce i Ukrainie zapewni niepodległe istnienie.

W Kosowie przed wybuchem II wojny światowej życie społeczeństwa przebiegało harmonijnie, nikt nie słyszał, że to Polak, a to Ukraińiec. Ukraińcy byli urzędnikami państwowymi, sędziami, adwokatami, kupcami, rzemieślnikami itp., zawierano małżeństwa polsko-ukraińskie, Polacy chodzili do cerkwi, a Ukraińcy do kościoła i nie było żadnych wystąpień nacjonalistycznych. Księża polscy brali czynny udział w święceniu wody na święta grekokatolickie (Jordan), i nie tylko księża, ale prawie cała ludność polska brała udział w tej uroczystości. Księża grekokatolicki brali udział w niektórych uroczystościach kościoła rzymskokatolickiego.

W osiedlu Moskalówka-Kosów, gdy na drodze spotkały się Polki, witały się po polsku „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a następnie rozmawiały między sobą po ukraińsku. To nie był odoobniony wypadek, większość ludności polskiej w Moskalówce rozmawiała w domach po ukraińsku.

Gdy wybuchła II wojna światowa, wojska hitlerowskie i wojska radzieckie poróżniły oba narody — pobudziły nacjonalizm ukraiński — obie armie obiecywały stworzenie niepodległej Ukrainy, a metodą prowadzącą do tej niepodległości miało być mordowanie Polaków.

Smutne było to, że znaczna część inteligencji ukraińskiej uwierzyła tym kłamliwym obietnicom i nie zdawała sobie sprawy, że obaj najeźdźcy mają własny poważny interes w poróżnieniu obu narodów.

Powstały więc bandy banderowskie i nastąpiło mordowanie Polaków.

Pierwszym sygnałem tej akcji był mord na księdzu Józefie Grześkowiaku w Pistyniu (odległym od Kosowa o 7 km), którego uprowadzono do lasu, przywiązano drutem kolczastym do drzewa, oblano naftą i podpalono. Następnie w Kosowie na początku roku 1944 uprowadzono p. Kępińskiego, po którym wszelki ślad zaginął.

W dniach 29 i 30 marca 1944 r. dokonano masowego mordu na Polakach i Ormianach w Kutach, odległych od Kosowa 10 km.

Liczba ofiar w Kutach nie jest mi znana.

30 marca i 23 kwietnia 1944 r. dokonano mordu Polaków w Kosowie.

Zostali zamordowani:

Lewicki Henryk — 4 osoby, Hardek — 5 osób, synowie inż. Bielońskiego — 2 osoby, Staszyński — 4 osoby, Finik — 3 osoby, Ostrowska — 2 osoby, Wołoszczuk Aniela — 2 osoby, Cebulski — 5 osób, Lewicka — 2 osoby, Muszyński — 3 osoby, sędzia Skorowski — 3 osoby, Husiatyński — 2 osoby, Krasowski Antoni, Krasowska Magdza, Wołoszczuk Wincenty, Rudkowski, babcia Krasowska, Andrzej Szal, Jan Wołoszczuk, Lusja Blokowska, dziecko Koszczuka, Eugeniusz Wołoszczuk, syn Wincentego, Gieroń, Józef Szkiert, Kazimierz Walter, Jan Stankiewicz, Czesław Kaszyński i inni.

Ogółem zamordowano około 55 do 60 osób. Spalono kilka budynków — 2 wille Leskowiec, budynek Wincentego Wołoszczuka, budynek sędziego Ostrowskiego, kilka budynków dr. Apolinarego Tarnawskiego.

Bohaterem w tych tragicznych dniach był pracownik nadleśnictwa — Madziarski. On ostrzegał nas przed napadami, on po mordach zwoził z kolegami ciała pomordowanych na cmentarz, on wykonywał prowizoryczne trumny, kopał zbiorowe groby — w ogóle był wszędzie, gdzie wymagały tego okoliczności. Widziałem się z nim w Opolu w latach 1955—1956, gdzie sprzedawał na straganie. Przed kilkoma laty zmarł w Opolu. Prawdopodobnie informacje ostrzegawcze o mordach otrzymywał od znajomych Ukraińców.

W dniu 30 marca 1944 r. otrzymałem od Madziarskiego ostrzeżenie o zamierzonym mordzie tej nocy. Sam zdążyłem ostrzec: kościelnego Wołoszczuka, inż. Bielońskiego, Hardeka (rodzina ta zlekceważyła ostrzeżenie mówiąc, że dość tych strachów i została zamordowana), rodziców żony — Leskowiec, Wołoszczuka Wincentego — organistę, i Krasowskiego Antoniego (ci dwaj ostatni również zlekceważyli ostrzeżenie i zginęli), Dubickiego, Szczepaników i w plebanii księży. Schowaliśmy się na strychu w kościele i ocaleliśmy.

Ranitem po tej nocy pobiegłem do Hardeków (odległość 200 m od kościoła) i ujrzałem martwego Hardeka siedzącego na krześle, na głowie miał dwa głębokie cięcia siekierą. Siekiera ciesielska (Hardek był kołodziejem) tkwiła wbita głęboko w lewe ramię, na prawym ramieniu siedział kot i zlizywał krew z głowy zabitego. W mieszkaniu panował półmrok — w kącie rzużyła najstarsza córka Hardeka — Elżbieta, Hardekowa leżała martwa na łóżku, obok na podłodze leżały w objęciach pozostałe dwie córki z podciętymi głowami. Pobiegłem następnie do rodziców żony, lecz nie było ich w domu.

Po pewnym czasie zjawił się u Hardeków wszędobyłski Madziarski z kolegami i zawiózł Elżbietę do szpitala, gdzie ją podleczone, nie wiem jednak, co się później z nią stało. Byłem również w tym dniu w domach Waltera i Stankiewicza, którzy też zostali zamordowani siekierami (byli to mężowie kuzynek mej żony).

Małoletnią bohaterką okazała się córka sędziego Ostrowskiego, która uratowała swego brata nieprzytomnego po uderzeniu w głowę, wywołując go na taczce z płonącego budynku, nie miała bowiem siły na wyniesienie go. Zajęła się też pogrzebem matki i kucharki. Jest ona dziś emerytowaną lekarką, żyje i mieszka w Oleśnicy, brat jej też żyje — nie znam jego adresu.

Widząc niechybną zagładę i nie mając żadnej broni palnej, wstąpiłem wraz z kolegami (Zdanowicz, Koszczuk, Kurdziel,

Krasowski, Wołoszczuk i Kaszyński) do „istriebitelnego batalionu” przy NKWD. To ocaliło Polaków od dalszych mordów, gdyż banderowcy czuli respekt wobec uzbrojonych — kwaterowaliśmy wprawdzie we wsi Rożnowie, ale często dojeżdżaliśmy do Kosowa.

Kosów był wówczas między frontami — 5 km od Kosowa w lasach byli okopani Madziarzy, z drugiej strony Kosowa natomiast w odległości 6 km w Rożnowie była sowiecka administracja — bez wojska.

Przed mordami, w czasie mordów i po mordach ja z żoną i sześciolatkiem synkiem przed nocą stale uciekaliśmy z domu i spaliliśmy przeważnie w ukraińskich szopach — bez wiedzy właścicieli. Spaliliśmy też dwukrotnie w oborze sąsiada — Polaka — Wołoszczuka. Takie ucieczki z domu były podyktowane niewiadomą, kiedy nastąpi morderczy atak.

Uciekaliśmy też do Kut, gdzie w pierwszym dniu mordów spaliliśmy u znajomego Ukraińca — murarza Juraka, ja z żoną w szopie na sianie, a syn w mieszkaniu Juraków — gospodyni podała nam kolację i śniadanie. Po tej strasznej nocy (29.III.1944) udaliśmy się z powrotem do Kosowa — przebyliśmy 10 km piechotą tam i z powrotem z sześciolatkiem dzieckiem, idąc przeważnie lasem, w głębi ok. 20 m równoległe do sosy. Nie było możliwe przejście szosą, gdyż na skraju lasu czatowali banderowcy.

Pewnego dnia przedzieraliśmy się przez zasypy śnieżne do wysokości pasa, dobre ubranie i obuwie były całkowicie mokre, udaliśmy się do Polaków Wołoszczuków na ul. Pistryńskiej, gdzie wysuszyliśmy odzież. I o dziwo, ja w domu, gdy stanąłem bosą nogą na posadzkę, to natychmiast miałem katar, a w tym wypadku nikt z nas nie kichnął, ani nie kaszlnął.

Świadomość, że każde kichnięcie w nocnym ukryciu w szopie może nas zdradzić, sprawiła, że nasze organizmy uodporniły się do tego stopnia, że nie szkodziło im ani zimno, ani przemoczenie obuwia czy odzieży. W okresie tych nocnych eskapad upodobałem się do ściganego zwierza i jak ten zwierz kierowałem się przeważnie instynktem, gdyż rozum często zawodził. Trudno określić te przeżycia, każdy dzień i każda noc inne, stale nerwy w napięciu, a oglądanie w nocy pożarów, słuchanie ryku motoru samochodu ciężarowego podczas mordów (ryk był celowy, chodziło o za-

gluszenie ewentualnych krzyków mordowanych), a następnie oglądanie ciał pomordowanych kolegów i znajomych — to coś niesamowitego.

A jednak organizm ludzki jest bardzo odporny.

Nie wszyscy Ukraińcy byli banderowcami. Duża część społeczeństwa ukraińskiego odsuwała się od mordów, potępiała je, ostrzegała Polaków przed akcją i udzielała im schronienia bądź to w swoich mieszkaniach, bądź też w swoich zabudowaniach gospodarczych. Kilkakrotnie o mających nastąpić mordach ostrzegał mnie prócz Madziarskiego inny znajomy Ukraińiec, gajowy, którego nazwiska nie pamiętam. Rodzice mej żony każdej nocy spali u znajomych Ukraińców; nazwiska ich nie znałem, bo nie wiedziałem, że będzie to kiedyś potrzebne.

Mój brat Stanisław z żoną i dwójkiem dzieci ukrywał się u znajomego Ukraińca (nazwisko zapomniałem) w Moskalówce, przez cały tydzień nie wychodząc na dwór. W mieszkaniu na wypadek alarmu mieli przygotowany w pokoju schówek pod podłogą. Następnie brat zmienił mieszkanie i wraz z rodziną przez kilkanaście dni ukrywał się u Ukrainki Bilińskiej.

Kuzynki mej żony — Jadwiga Walter i Stefania Stankiewicz — również co noc wraz z dziećmi spały w tym okresie u swych znajomych Ukraińców. Mężowie kuzynek zlekceważyli — jak już nadmieniałem — ostrzeżenie i zostali zamordowani.

Żona dr. Tobiczka, nauczycielka Ukrainka, ostrzegła wszystkich mieszkańców ulicy Pistryńskiej, tak że nikogo z tej ulicy nie zamordowano. Nie spalono tu też żadnego budynku, gdyż życzliwi Ukraińcy z tej ulicy na noc mordów pozajmowali budynki Polaków i banderowcom oświadczyli, że oni tam mieszkają.

Tobiczkowa żyje w Polsce i mieszka w Oleśnicy.

Ukraińiec Mirosław Romanów ukrył Polkę Błokowską, lecz ta widząc nadchodzących banderowców dostała nerwowego szoku, chcąc uciekać wyskoczyła przez okno i została zastrzelona.

Sądzę, że znacznie więcej Polaków w Kosowie było ostrzeganych przez Ukraińców, lecz ja napisałem tylko o tych, o których wiem na pewno.

10 marca 1992 r.

HELENA PASIERBSKA, WACŁAW DZIEWULSKI

Ponary

Największe miejsce kaźni na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej w latach 1941 — 1944

Ponary — miejsce kaźni obywateli Rzeczypospolitej

Okres okupacji hitlerowskiej w Wilnie podczas II wojny światowej trwał od 1941 do 1944 r. Jako miejsce zagłady tysięcy obywateli Rzeczypospolitej Niemcy obrali ogromne doły w lesie koło osiedla Górne Ponary. W ramach holocaustu wymordowano tam ok. 70 tysięcy Żydów przyprowadzanych lub przywożonych z Wilna i okolicznych miasteczek. Zginęło również wiele tysięcy Polaków, którzy dobrowolnie podjęli konspiracyjną walkę z okupantem o wolność ziemi ojczystej. W Ponarach poniosła też śmierć grupa Cyganów oraz litewscy działacze komunistyczni poprzedniego reżimu, jak również pewna liczba jeńców sowieckich, których na ogół grzebano w przypadkowych miejscach.

Ponary są szczególnym miejscem kaźni, bowiem rozgrywały się tu istne orgie bestialstwa. Dokonywały ich ochotnicze litewskie oddziały specjalne, zwane „Ypatingu Buriai”, rekrutujące się głównie z paramilitarnej nacjonalistycznej organizacji Lietuvos Szauliu Sajunga — Związek Litewskich Strzelców (zał. w 1918 r.), stąd przyjęło się określanie ich „szaulisami”. Zasłynęli oni z wyjątkowego okrucieństwa. Byli wykorzystywani przez Niemców również w innych miejscach masowej zagłady, np. w Mińsku, w obozie w Majdanku. W dniach masowej eksterminacji, kiedy jednego dnia

doprowadzano do Ponar kilka tysięcy osób, wspomagały ich oddziały policyjne oraz Niemcy. Skazańców po przekroczeniu bramy zmuszano do rozbierania się do naga, ubrania ich oprawcy szczegółowo przeszukiwali; Żydzi zabierali przecież ze sobą najcenniejsze rzeczy, ponieważ byli kłamliwie informowani o rzekomym kierowaniu ich na przymusowe roboty. Polaków przywożonych z piwnic gestapo i przepelnionych cel więzienia na Łukiszkach maltretowano nad dołami w celu wymuszenia zeznań, obiecując darowanie życia.

Gdy doły wypełniły się już ponad wszelką miarę, a fetor rozkładających się ciał stał się niemożliwy do zniesienia, zarządzono palenie zwłok. W tym celu wyodrębniono 80-osobową grupę Żydów i Rosjan, umieszczając ją w głębokim dole, do którego schodziło się po drabinie wyciąganej od góry przez wartowników. Od grudnia 1943 r. do kwietnia 1944 r. spalono ok. 60 tysięcy ciał. Trzydzieści osób zdołało ująć z życiem, uciekając przez wykonany w tajemnicy podkop. One to po wojnie składały zeznania przed komisją do zbadania zbrodni ponarskiej.

Miejsce kaźni w Ponarach do 1985 r. było całkowicie zaniedbane. W końcu teren uporządkowano. Napis na tablicy infor-

macyjnej głosi jednak, iż pomordowani byli obywatelami radzieckimi. W 1990 r. w centralnym miejscu zagłady Żydzi postawili pomnik w kształcie Gwiazdy Dawida. W pobliżu toru kolejowego natomiast Polacy ustawili dębowy krzyż i pamiątkową tablicę. Miejsce to stanowi cel pielgrzymek Polaków mieszkających nad Wilią i rozproszonych po całym świecie.

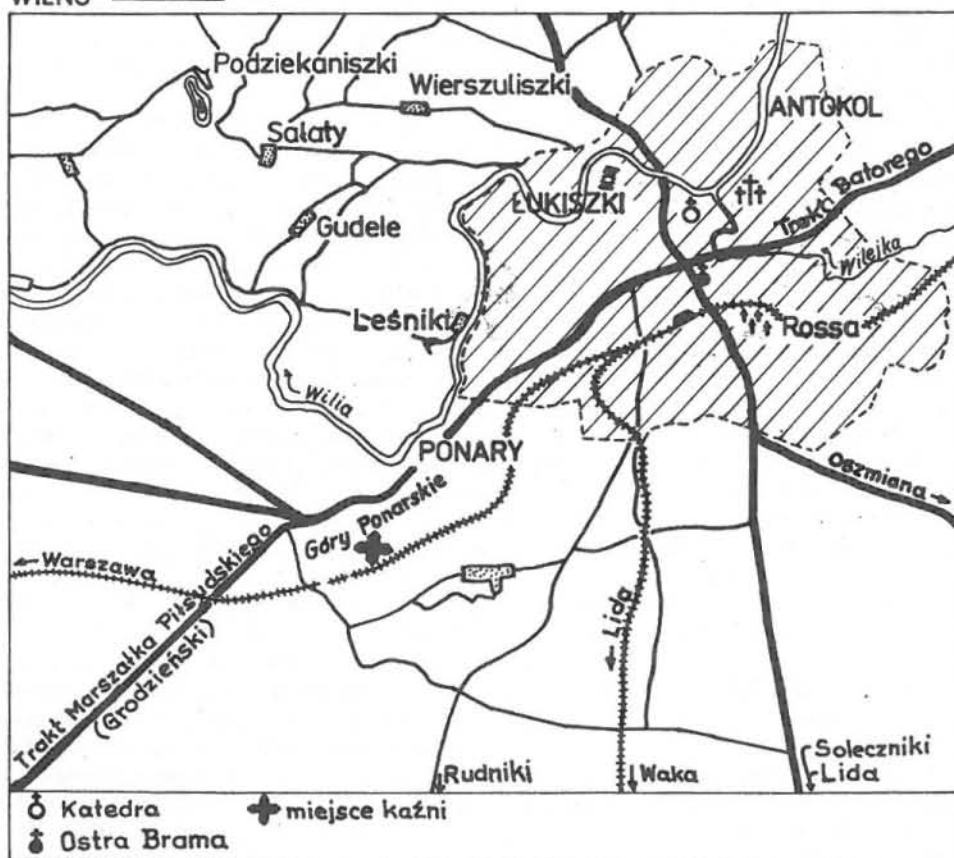
Ponary — cel pielgrzymek Polaków

Z Wilna w kierunku zachodnim prowadzi ulica Wielka Pohulanka, na której końcu znajdowały się dwa murowane „białe słupy” bramy i rogatki miejskiej. Przedłużenie tej ulicy w Dolnych Ponarach obejmowało brukowaną serpentynę wiodącą na tzw. Góry Ponarskie. Za kapliczką ponarską następowały kolejne rozgałęzienia: na lewo to tzw. Trakt Grodzieński, a następnie drogi do Kowna, Waki i Landwarowa. Trakt Grodzieński biegł prosto przez las sosnowy w kierunku południowo-zachodnim. W odległości dwu kilometrów od kapliczki przecinał on tor kolejowy Wilno-Landwarów. Za przejazdem po lewej stronie drogi stał mały budynek dróżnika kolejowego, tzw. koszaraka, a nieco dalej odchodziła droga leśna, która z czasem stała się wjazdem na teren „bazy”. Tę właśnie 10-kilometrową trasę, w latach 1941–1944 przemierzały pod eskortą tysiące obywateli polskich skazanych na zagładę.

Termin „baza” pojawił się pod koniec 1940 r., kiedy władze radzieckie rozpoczęły wykopy na zbiorniki paliwa płynnego. Wykopano wiele ogromnych dołów (3 lub 4 o średnicy 32 m i głębokości ok. 4 m oraz 4 o średnicy 12 m i głębokości ok. 3 m), lecz nowy okupant wykorzystał je jako miejsce masowej zagłady.

Po wojnie w pobliżu osiedla mieszkaniowego w Górnych Ponarach wybudowano stację kolejową oraz przebudowano węzeł drogowy. Zaprojektowane w okresie międzywojennym nowoczesne rozwiązanie polegało na zastąpieniu brukowanej serpentyny jedynym łukiem pozostawiającym kapliczkę po prawej stronie drogi i wpadającym w drogę do Kowna. Po wojnie projekt zrealizowano, podporządkowując pozostałe rozwidlenia drodze Wilno-Kowno, a prócz tego skrzyżowanie dawnego Traktu Grodzieńskiego z torrem kolejowym przesunięto na zachód. W wyniku tej zmiany historyczny odcinek Traktu Grodzieńskiego i brukowana droga na teren miejsca kaźni przestały istnieć; zdjęto nawierzchnię, zasadzono las. Chodziło o to, by po tym fragmencie „drogi śmierci”, na którym konwojowane kolumny umęczonych ludzi z pełną świadomością swego losu musiały czekać na swą kolejkę, gdy tymczasem z głębi lasu dochodziły krzyki i odgłosy morderczych strzałów, nie pozostało śladu. Niepokornych zaś, tzn. polską młodzież — żołnierzy AK, ze skrupowanymi rękoma przywożono ciężarówkami, które za przejazdem kolejowym jechały Traktem Grodzieńskim ok. 1 km i skręcały w lewo na tzw. trakt strategiczny, by na teren „bazy” wjechać od strony południowej przez pomocniczą bramę.

WILNO — 1 2 km (ok)



rys. Z. A. Lubicz

Ponary — informacja dla pielgrzymujących

Wobec radykalnych zmian w terenie dojazd do miejsca kaźni, a nawet jego odszukanie są utrudnione. Autobus komunikacji miejskiej, odjeżdżający sprzed dworca kolejowego, kończy swą trasę na pętli przy towarowej stacji Ponary. Po przejściu kładką dla pieszych nad torami należy skręcić w prawo wzdłuż torów. Autobus wycieczkowy jadąc drogą w kierunku Druskienik i Trok powinien (przed skrzyżowaniem z torrem) skręcić w lewo na boczną szosę. Za przejazdem przez tor znajduje się przystanek autobusów miejskich „Baza”, a przy nim informacja w języku litewskim oraz parking w lesie.

Na kilkunastu hektarach lasu tylko drzewa były niemymi świadkami niebываłego bestialstwa oprawców i niesłychanych dramatów tysięcy ofiar.

Ponary — monografia martyrologii Polaków

Przez długie lata sprawa martyrologii obywateli polskich na Kresach Wschodnich RP była przemilczana, wzmianki o niej podlegały surowej cenzurze. Z tej racji miejsce kaźni w Ponarach pamięta już tylko najstarsze pokolenie mieszkańców przedwojennego Wilna. Opracowywana przez Helenę Pasierbską książka (ok. 200 ss.) stanowić będzie pierwszą w Polsce monografię Ponar — miejsca zagłady polskiej inteligencji i młodzieży — rówieśników autorki książki.

ADAM RUBASZEWSKI

Pamięci Stanisławowa

„OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA...” – hasło powtarzające się bardzo często wśród byłych mieszkańców przedwrześniowych ziem południowo-wschodnich, sprzed IV rozbioru Polski!

Ocalić od zapomnienia... przede wszystkim mogiły naszych przodków!

W odniesieniu do mnie, urodzonego w 1919 r. w Stanisławowie, grodzie „Rewery”, hasło to nabrało szczególnego znaczenia. Od wielu lat z moim bratem ks. kanonikiem Celestynem Rubaszewskim i siostrą Marią staraliśmy się w sposób spontaniczny ocalić od zapomnienia przede wszystkim tragiczne dla naszego rodzinnego miasta wspomnienie dni sierpniowych 1941 r. Po aresztowaniach nauczycieli 8 i 9 sierpnia gestapo na rozkaz hauptsturmführera SS Hansa Krügera dokonało zbrodni na mieszkańcach Stanisławowa i okolicy. Aresztowania trwały do września. Zginęło ponad 800 osób, w tym ok. 130 nauczycieli szkół średnich i powszechnych. Ginęła też młodzież stanisławowska. Egzekucje odbywały się na obrzeżu pobliskiego Czarnego Lasu, na stokach góry Uhrynowskiej, w rejonie Bałki Zagwoździańskiej, wzniesienia Carynka oraz leśniczówek Rybno-Pawelcze.

Uważaliśmy, że należy uchronić od zapomnienia tę tragedię i oddać cześć pomordowanym ludziom.

Pierwszym, dostępnym w latach siedemdziesiątych sposobem była możliwość ufundowania przez współziomków tablicy-epitafium. Myśl taką podjęły były wychowanki gimnazjum ss. Urszulanek, z prof. Teresą Trzaskowską-Moricową, na koleżeńskim spotkaniu w Rokicinach Podhalańskich. Uczciły one pamięć wychowawczyń, które zginęły z rąk gestapowców, tabliczką umieszczoną w kaplicy klasztornej ss. Urszulanek w Krakowie. Poświęcenia dokonał mój brat ks. kanonik Celestyn Rubaszewski. Zbieraliśmy równocześnie fundusze wśród przyjaciół w kraju i za granicą na dużą, drugą tablicę. Chcieliśmy tą tablicą uczcić 40 rocznicę tragicznych wypadków 1941 r. w Stanisławowie. Miała być poświęcona pamięci pomordowanych nauczycieli i uczniów oraz innych poległych w czasie II wojny światowej. Datki pieniężne przychodziły na adres mojego brata ks. Celestyna, który po przejściu na emeryturę zamieszkał w Warszawie. Odlew tablicy wykonano w zakładzie ludwisarskim braci Felczyńskich w Taci-szowie (firma z Kałusza).

W kręgu byłych stanisławowian skupiających się w Warszawie wokół mego brata ks. Celestyna zdecydowano ostatecznie o przewiezieniu tablicy do Wrocławia – stolicy Kresowiaków z dawnych ziem południowo-wschodnich Polski. Dzięki staraniom ks. kanonika Stefana Helowicza oraz moich kolegów gimnazjalnych – Juliana Piotrowskiego i Tadeusza Szylińskiego, za zgodą ks. arcybiskupa metropolity wrocławskiego Henryka Gulbinowicza, wybrano miejsce na zawieszenie tablicy – Katedrę Wrocławską!

Wielkim problemem było przewiezienie tablicy na miejsce (stan wojenny), korona do godła państwowego – orła – przyjechała zaś w kieszeni jednego z organizatorów, zanim została umieszczona na tablicy. Dnia 6 XI 1982 r. poświęcenia epitafium dokonał w asyście kilku księży pochodzących ze Stanisławowa ks. biskup dr Wincenty Urban. Mimo trudności organizacyjnych w tych dniach niepokoju we Wrocławiu stała się w katedrze liczna grupa b. stanisławowian. Ze składek – datków pieniężnych, wykonano również stelaż na światła i kwiaty oraz w latach następnych Stanisław Kwaśniewski (stanisławowianin) zaprojektował tabliczkę z odpowiednią inskrypcją i grudką ziemi przywiezioną ze starego cmentarza w Stanisławowie. Niestety tabliczkę

skradli „nieznani sprawcy”. Nową tabliczkę w miejsce skradzionej ufundował kol. Tadeusz Szyliński.

Co roku spotykamy się w Katedrze Wrocławskiej, uczestniczymy we mszy św., w spotkaniu przy tablicy i w domu przykatedralnym. Spotkania są organizowane i troskliwie przygotowywane pod przewodnictwem księdza kanonika Stefana Helowicza przez rodzinę Piotrowskich, Leszka Wierzejskiego i innych.

Ciągle nurtowało mnie pragnienie, by dotrzeć do miejsca kaźni i znaleźć mogiły. I tak w 1988 r. udało mi się przy udziale mego syna Pawła i pomocy życzliwego Ukraińca – Michała Bużenki, dziś już nie żyjącego, odnaleźć w rejonie leśniczówek Rybno-Pawelcze osiem dołów będących mogiłami pomordowanych współziomków. Uważałem, że należy oddać cześć pomordowanym tam ludziom. Miałem szczęście spotkać ogromnie oddanego sprawie Staszka Kwaśniewskiego. Odtąd razem pokonywaliśmy trudności i razem cieszyliśmy się z naszych sukcesów. Zdecydowaliśmy postawić pomnik w Stanisławowie, który będzie trwałym dowodem naszej pamięci i czci.

Przyłączyły się do nas grupy byłych stanisławowian z innych miast Polski. Przy opracowywaniu projektu pomników współdziałali z nami – z Krakowa m.in. J. Stafińska, K. Międzybrodzki i S. Hamerski, z Wrocławia natomiast Leszek Wierzejski i z Poznania Drabikowie oraz Rudniccy efektywnie organizacyjnie przyczynili się do ich powstania i urządzenia uroczystości. W Przemyśle R. Sidorow pośredniczył w wykonaniu odlewów tablic, W. Madej zaś indywidualnie ufundował tablicę harcerską. Nie sposób wymienić imiennie wszystkich współdziałających w tym ważnym i trudnym przedsięwzięciu. Dzięki współpracy ze Stowarzyszeniem „Memoriał” w Stanisławowie (Iwano-Frankowsk), a później także z powstałym w 1988 r. przy nowo otwartym kościele pw. Chrystusa Króla „Na górze” Towarzystwem Kultury Polskiej, przy ogromnej pomocy finansowej Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Fundacji Ochrony Zabytków, udziałowi Bazy Energopolu w Bohorodczanach (z entuzjastką Stanisławowa i ziemi stanisławowskiej inż. H. Kolasą) w prowadzeniu robót budowlanych, dzięki finansowemu wsparciu moich przyjaciół roz-sianych po całym świecie osiągnęliśmy cel!

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa poza stroną finansową włączyła się organizacyjnie i podjęła trud kierowania całą akcją. Szczególnie dużą troskę i serdeczność okazała naszym poczynaniom pani Jolanta Adamska. Fundacja Ochrony Zabytków ufundowała Krzyż Virtuti Militari na pomnik cmentarny oraz przekazała słupki na jego ogrodzenie, ponadto opracowała dokumentację na dwa pomniki. W efekcie tych wszystkich działań instytucji i ludzi dobrej woli powstały dwa pomniki: na miejscu kaźni w lesie na górze Uhrynowskiej oraz na starym cmentarzu w Stanisławowie. Na obu pomnikach tablice-epitafia oddają hołd tym, którzy ponieśli śmierć męczeńską. Nasze ze Staszkiem Kwaśniewskim starania i zabiegi dobiegły końca!

W dniu 1 września 1991 r. wraz z grupą wrocławską pojechaliśmy do Stanisławowa. Wyjazd ten zorganizował Leszek Wierzejski, przewodniczący wrocławskiego koła byłych stanisławowian przy TML. Niestety z przyczyn techniczno-organizacyjnych, po zbyt późnym zawiadomieniu nas o przełożeniu dnia uroczystości na termin późniejszy, nie mogliśmy uczestniczyć 15 września 1991 r. w oficjalnych uroczystościach poświęcenia pomnika na miejscu kaźni i drugiego na dawnym, starym cmentarzu zlikwidowanym w 1980 r. W uroczystościach wzięli udział oficjalni przedstawiciele

władz polskich i miejscowych. W tej oficjalnej uroczystości wzięły udział duże grupy stanisławowian z Warszawy i Krakowa. Wyjazd z Warszawy organizował Stanisław Leszczyński.

W Stanisławowie, w kościele „Na górze”, za zgodą ks. arcybiskupa Mariana Jaworskiego oraz dziekana ks. Kazimierza Halimurki, powstał Ołtarz Pamięci, na którym umieszczono dwie tablice ufundowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeńs-

stwa — jedna poświęcona pamięci stanisławowian, ofiar II wojny światowej, druga zaś z grudką ziemi katyńskiej, poświęcona ofiarom Katynia.

Na tym ołtarzu małe grawerowane w Warszawie indywidualne tabliczki (ze składek rodzin i przyjaciół) z nazwiskami poległych upamiętniają Tych, którzy zginęli za Ojczyznę.

Ołtarz i tablice poświęcono także 15 września 1991 r.

ALEKSANDER KORMAN

Archiwum Wschodnie

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 25

Inny Broniewski (c.d.)

Na łamach czasopisma „Semper Fidelis” 1990, nr 4–5, s. 33, Adam Wierciński w artykule *Inny Broniewski* zaprezentował wiersz *Tulacza armia*. Utwór ten zawiera sześć, a nie pięć zwrotek. Opuszczono czwartą zwrotkę o następującej treści:

Dziś w angielskiej kancjynie,
przy dziewczynie i winie,
wspominamy, jak gdzieś na Ładodze
od tyfusu, malarii,
tysiącamiśmy marli
i tysiące nas padły po drodze.

Sześciopięciopięciowy wiersz *Tulacza armia* został opublikowany w ulotce konspiracyjnej z roku 1944 — „Do polskiej inteligencji pracującej”.

Dla pełniejszego obrazu mało znanej twórczości Władysława Broniewskiego (oprócz utworów: *Tulacza armia*, *Kasztan*, *Rozmowa z historią*) przedstawiamy inny utwór.

Wszystko nam jedno...

Wszystko nam jedno żołnierzom,
gdy kulka przyleci od wroga,
ile nam ziemi odmierzą
gdzieś na rozstajnych drogach.

Wszystko nam jedno, żołnierzom,
rachunek nie musi być ścisły,
ile nam ziemi odmierzą
na wschód i zachód od Wisły.

My sami — bo żołnierz uparty —
z bagnietem — a choćby i z nożem! —
dojdziemy do Wisły i Warty,
staniemy na Śląsku, nad morzem!

Rozmowa będzie króciutka
o Wilnie, Krzemieńcu i Lwowie.
Nie damy też Nowogródka,
dlaczego? — niech Adam odpowie.

Nas biją — a my przeżyjemy,
ich siła — a my niepodlegli.
Idziemy, idziemy, idziemy,
żyjący, walczący, polegli!

Nie chcemy nad Ural, Kołymę,
dosyć jeździliśmy w gości,
chcemy polską zaprosić zimę,
żeby polskie tuliła kości.

Kto nam wróg, temu ręka nasza
bagnietem serce przewierci.
Rozpacz nas nie przestrasza,
będziemy się bili do śmierci,
będziemy się bili do śmierci.

OŚWIADCZENIE ARCHIWUM WSCHODNIEGO

Jesienią 1991, dzięki uprzejmości wielu redakcji, opublikowaliśmy komunikat o konkursie na pamiętnik pn. „Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939–1945”. W anonsie posłużyliśmy się terminem „Kresy Wschodnie” jako powszechnie zrozumiałym dla Polaków pochodzących ze wschodnich województw II Rzeczypospolitej — potencjalnych uczestników konkursu. Jako dopełnienie — wobec zasadniczego tematu: okupacji radzieckiej i niemieckiej — użyliśmy terminu „okupacja litewska”. W tym ostatnim przypadku chodziło nam o tzw. Kraj Wileński, czyli tę część przedwojennego państwa polskiego z Wilnem, która zajęta we wrześniu 1939 przez Sowiecie została następnie na mocy porozumienia radziecko-litewskiego z października 1939 przekazana Litwie i znajdowała się pod jej jurysdykcją do czasu utraty przez nią niepodległości w czerwcu 1940. Nie wnikając w istotę konfliktu polsko-litewskiego o Wileńszczyznę, można stwierdzić, że była to jednak w 1939 roku, w świetle prawa międzynarodowego, okupacja terytorium państwa polskiego i tak też postrzegał to ogół Polaków.

Z końcem października 1991 nastąpiła bardzo ostra reakcja władz litewskich, w tym także p. prezydenta — Vytautasa Landsbergisa. Było dla nas dziwne, że najwyższe władze Litwy interesują się tak marginalną sprawą. Wychodząc z założenia, że upublicznienie tego problemu nie będzie dobrze służyć stosunkom litewsko-polskim, milczeliśmy. W kwietniu br., podczas pobytu w Wilnie naszych przedstawicieli, z miarodajnych źródeł dowiedzieliśmy się, że sprawa ta wielokrotnie była wykorzystywana na Litwie do celów bieżącej polityki i jest nadal niejako tematem dyżurnym, a zarazem w szerszym kontekście elementem antypolskiej propagandy w litewskich środkach masowego przekazu. Uważamy takie postępowanie za poważne nadużycie. Może ono przynieść bardzo złe skutki dla społeczności polskiej na Litwie. Jednocześnie informujemy, że nie było naszą intencją sugerowanie zmian obecnych granic, a w szczególności przyłączenia Wileńszczyzny do Polski. Nie mieliśmy także zamiaru obrażać niczyich uczuć narodowych. Sądzimy, że dokumentowanie historii tamtych ziem jest potrzebne historykom po obu stronach i uważamy, że powinni to robić wspólnie.

Uzyskane materiały z konkursu są dostępne dla wszystkich zainteresowanych. Ze swej strony deklarujemy też chęć współpracy ze środowiskiem naukowym niepodległej Litwy.

Warszawa, 24 kwietnia 1992

A jednak doc. Szolginia ma rację

Czytelnikiem „Życia Warszawy” jestem „od zawsze”, a w każdym razie od kilkudziesięciu już lat. W dzienniku tym ceniłem też zawsze (ze zrozumieniem specyficznych uwarunkowań tzw. minionego okresu) rzeczowość i na ogół rzetelność zawartych w nim materiałów dziennikarskich. Ich merytoryczną wartość oceniałem zaś zawsze przede wszystkim z mego profesjonalno-metodologicznego punktu widzenia (jestem pracownikiem naukowym) oraz pod kątem rzetelności właśnie zawartych w nim informacji.

Od dawna, od bardzo już dawna żaden z opublikowanych w „Życiu” artykułów nie wywołał jednak we mnie takiego rozczarowania i sprzeciwu, jak ten z 15 kwietnia br. („Życie Warszawy” nr 90), zatytułowany *Plast* pióra niejakej pani Olgi Iwaniuk. Artykuł ów charakteryzuje działający od trzech lat w Polsce reaktywowany skauting ukraiński, zwany wdzięcznie właśnie „Plastem”. Pochodzę ze Lwowa, tamtejsze środowisko ukraińskie było mi znane „po sąsiedzku” stosunkowo nieźle z każdej, dobrej i złej strony — z zainteresowaniem przystąpiłem więc do lektury rzeczzonego artykułu.

Zainteresowanie zamieniło się rychło w zdziwienie, a potem w irytację i zdecydowany sprzeciw w odniesieniu do zawartych w artykule różnych „informacji”. Zdziwienie mógłbym wyrazić w takim oto pytaniu: Czy i kto w redakcji „Życia” czytał i merytorycznie sprawdzał ten tekst przed zakwalifikowaniem go do druku? Mam wrażenie, że nikt zgoła. Gdyby bowiem uczynił to ktoś kompetentny w dziedzinie spraw tzw. kresowych (a takich osób w Waszej Redakcji przecież nie brak), nie dopuściłby do druku artykułu pani Iwaniuk w takiej jego formie, w jakiej został opublikowany.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę dla przykładu kilka, mówiąc bardzo łagodnie, lapsusów autorki artykułu. „Lapsusy” te zresztą u niejednego czytelnika mogą wywołać nieodparte wrażenie, że nie są bynajmniej jedynie mimowolnymi pomyłkami tej pani.

Po pierwsze — co znaczy sformułowanie: „na ziemiach włączonych do II Rzeczypospolitej”? Chodzi tu o wschodnią część byłej Galicji, czyli po odzyskaniu przez Polskę niepodległości — Małopolskę Wschodnią. Cały jej obszar przez wieki stanowił część terytorium Rzeczypospolitej, po rozbiorach zagrabioną przez carską Rosję (Wołyń) i cesarską Austrię (Podole). Po pierwszej wojnie światowej obszar ów powrócił do Macierzy, nie zaś został „włączony” do niej.

Po drugie — apologetyczne potraktowanie przez autorkę artykułu historii „Plastu”, której członkowie należeli również do Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UOW), Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) oraz Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). O. Iwaniuk absolutnie przemilcza doskonale nam wszystkim stamtąd pochodzącym znane działania owych organizacji, działania charakteryzujące się skierowanymi przeciw Polsce i Polakom zamachami, terrorem, pożogą, zbrodnią i masowym ludobójstwem.

Historia tych działań oraz wszelkie związane z nimi zagadnienia są zbyt dobrze znane z autopsji wszystkim byłym mieszkańcom Małopolski Wschodniej oraz badającym i opisującym je historykom, aby się tu szerzej nad nimi rozwodzić. Wiarygodnych, nie podlegających żadnym wątpliwościom relacji naukowych, publicystycznych i literackich oraz archiwalnych i pamiątkarskich jest bardzo wiele. Tu wystarczy tylko na ich podstawie stwierdzić, że tamte nasze rodzinne ziemie spłynęły potokami krwi setek tysięcy okrutnie pomordowanych Polaków. To było dzieło wspomnianych wyżej ukraińskich organizacji oraz ściśle z hitlerowskim okupantem współdziałającej oślawionej SS-Schützendivision „Ga-

lizien” (czyli ukraińskiej dywizji SS-„Hałyczyna”). Żyją jeszcze naoczni świadkowie tych masowych, bestialskich zbrodni i istnieją jeszcze liczne, potwierdzające to dowody. O czym się oczywiście ukraińskim „plastunom” tam i tu na ich skautowych ogniskach nie opowiada...

I wreszcie po trzecie — zupełnie już niesłychana w swej formie treść końcowego akapitu artykułu pani Olgi Iwaniuk. Streszczając, autorka wspomina w nim o międzynarodowym zgrupowaniu „plastunów” w sierpniu ubiegłego roku w Olsztynie k. Częstochowy z okazji obchodów 80-lecia „Plasta”. Na zgrupowaniu tym wystąpiła m.in. polska drużyna harcerska ze Lwowa imienia — jak z wyczuwalną dezynwolturą i lekceważeniem podała pani Iwaniuk — „Janka Biczuna”! (wykrzyknik mój — WS). Drużyna ta — znowu cytuję autorkę artykułu — „odśpiewała swój hymn-piosenkę! (drugi mój wykrzyknik — WS) o swoim patronie, który w 1919 r. poległ, broniąc Lwowa przed Ukraińcami”.

W Polsce od paru już pokoleń byłym mieszkańcom Lwowa oraz szerokim rzeszom harcerzy (i nieharcerzy też) doskonale wiadomo, kto to taki ów czternastoletni obrońca Lwowa, Jurek Bitschan (a nie żaden Janek Biczun, jak go — powiedzmy „omyłkowo” — zechciała nazwać pani Olga Iwaniuk). Poległ on w obronie swego miasta nie w roku 1919, lecz w listopadzie 1918 r. na cmentarzu Łyczakowskim, pochowany później na sąsiednim lwowskim i ogólnopolskim Campo Santo — cmentarzu Obrońców Lwowa. Po swojej żołnierskiej śmierci od razu stał się symbolem, legendą i wzorcem osobowym dla całej polskiej młodzieży.

Swój artykuł pani Iwaniuk kończy tak: „Organizatorzy prosili (wyróżnienie moje — WS) potem plastunów za tę niezręczność (czyli za wykonanie piosenki o Jurku Bitschanie przez polskich harcerzy ze Lwowa — przypis mój — WS). Obecni na obozie plastuni z Ukrainy w ogóle nie zwrócili na to uwagi...”

Pogratulować zrozumienia, taktu i manier zarówno owym organizatorom zgrupowania „plastunów”, jak i autorce omawianego artykułu. A nam aż się nasuwają niechlubnie znane z „minionego okresu”, ośmieszające wprawdzie, ale niekiedy zadziwiająco jeszcze, mimo wszystko, przydatne pytania: „Kto za tym artykułem stoi? Komu on służy?”

Bo że nie wzmożeniu i umacnianiu sympatii Polaków do, hm, „plastunów” tu i tam — to chyba pewne, Panie Redaktorze?

W. Szolginia

Pieczętki można zamawiać

Roman Niedziółka
ul. Kątecka 93
55-020 Gniechowice
tel. Wrocław 168781

Książka ks. biskupa Wincentego Urbana:
Droga krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej
jest do nabycia w Zarządzie Głównym TML

RECENZJE

DANUTA NESPIAK

Lwów w publikacjach Barbary Męcarskiej-Kozłowskiej

Otrzymałam niedawno dwie książki o Lwowie, których darmo by szukać po naszych księgarniach, bo wydane w ubiegłym roku w Londynie. Pierwsza to *Lwów twierdzą kultury i niepodległości*, druga — *Posłannictwo kresowe Lwowa*. Obie pozycje wychodzą naprzeciw potrzebom intelektualnym i emocjonalnym tych wszystkich, dla których Lwów był i jest symbolem polskiej kultury i niepodległości. Obie wyszły spod pióra Barbary Męcarskiej-Kozłowskiej, o której należy tym bardziej wspomnieć, że ta rodowita Lwowianka — wykształcona i kulturalna Pani redagująca znakomite Biuletyn Instytutu Józefa Piłsudskiego — już nie żyje.

Była córką prof. dr. Stefana Męcarskiego — obrońcy Lwowa — należącego do kręgu elity literackiej i społecznej miasta, posła na sejm RP w latach 1930–1935. Wczesną młodość pani Barbary wypełniła konspiracyjna walka z dwoma okupantami. W czasie pierwszej okupacji sowieckiej Lwowa (1939–1941) brała udział w tajnych kompletach nauczania. W czasie okupacji niemieckiej jako harcerka w Szarych Szeregach pracowała również w Radzie Głównej Opiekuńczej, kolportowała prasę podziemną. Członkinią tajnego koła młodzieży pozostała też po wkroczeniu po raz drugi wojsk radzieckich do Lwowa. Od wiosny 1945 r. poszukiwało jej NKWD. Na emigracji w Londynie podjęła pracę pisarską i redaktorską. Jako historyk znała problematykę polskich Kresów Wschodnich, którą referowała w ramach Stałej Konferencji Muzeów, Bibliotek i Archiwów Polskich na Zachodzie. Ostatni raz było to w Bibliotece Polskiej w Paryżu na uroczystej akademii w rocznicę powstania listopadowego 29 listopada 1988 r. Na podstawie wygłoszonego wówczas odczytu związanego z 70 rocznicą obrony Lwowa powstała właśnie książka *Lwów twierdzą kultury i niepodległości*. Jest to — jak napisała autorka — „życiorys Lwowa” ukazany poprzez jego wielowiekowe prawo i stanowisko w Rzeczypospolitej, wynoszące to miasto do symbolu twierdzy wolności i kultury, wierne zawsze Polsce i przynależne do Europy zachodniej. Autorka ukazała ów indywidualny i jedyny w dziejach Polski fenomen miasta, który w dobie swoich narodzin był już



wielonarodowy i wielokulturowy, a który w ciągu swojej historii wypełnił misję miasta strażnicy polskości i cywilizacji, znakomitego centrum nauki na granicy wschodniej nie tylko Polski, ale Europy.

Druga pozycja *Posłannictwo kresowe Lwowa* poświęcona jest w całości omówieniu współpracy, znaczenia i roli Lwowa w przygotowaniu czynu zbrojnego Józefa Piłsudskiego. Jest to sumienna rozprawa prezentująca prace i działania Piłsudskiego na terenie Brzuchowic i samego Lwowa od roku 1901 poprzez VIII Zjazd PPS w 1906 r., tworzenie się Związku Walki Czynnej aż do 1912 r. Wówczas to Lwów staje się centrum działań niepodległościowych, powstaje tu Główna Komenda Związku Walki Czynnej, którą w 1912 r. obejmuje bezpośrednio w swe ręce Józef Piłsudski. Tutaj też żegnał Piłsudski w 1914 r. na Cmentarzu Łyczakowskim Józefa Kajetana Janowskiego, ostatniego sekretarza Rządu Narodowego w 1863 r. Do miasta „Semper Fidelis” przyjechał komendant 21 grudnia 1918 r. już w miesiąc po uwolnieniu Lwowa. W sierpniu 1923 r. Piłsudski bawił we Lwowie z okazji Zjazdu Legionistów. I wtedy to — jak napisała autorka — „Piłsudski ustalił posłannictwo kresowe miasta mówiąc o żołnierzu zmagającym się z wrogiem na tym przedmurzu naszej Polski, którym jest Lwów”. Książka zawiera bogatą dokumentację fotograficzną i opatrzona jest przypisami, które prezentują szeroką erudycję autorki, dając jakby drugie tło historyczne opisywanych wydarzeń.

„Semper Fidelis” dociera do wielu krajów na wszystkich kontynentach

Zachęcamy do reklamowania się na naszych łamach

Ceny ogłoszeń w ramkach:

cała strona	— 6 000 000 zł
1/2 strony	— 3 500 000 zł
1/4 strony	— 2 000 000 zł
1/8 strony	— 1 000 000 zł
za jedno słowo	10 000 zł

10 maja br. na wrocławskim rynku odbyło się uroczyste poświęcenie i wręczenie sztandaru III Obszaru AK-Lwów środowiska Okręgu Wrocławskiego. Sztandar zaprojektował Mieczysław Filipczak — oryginalny orzeł wyhaftowany jeszcze w czasie wojny we Lwowie. W uroczystości prowadzonej przez płk dr Ryszarda Merkla wzięli udział kombataneci z Kresów Wschodnich, pan generał bryg. dr Leonard Boguszewski, poczty sztandarowe Światowego Związku Żołnierzy AK oraz oryginalny sztandar 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich ze Lwowa.

Z. A. Lubicz

Z ŻYCIA ODDZIAŁÓW

TML – OLSZTYN

Towarzystwo Miłośników Lwowa – Klub w Olsztynie jest najbardziej wysunięty na północno-wschodnich terenach Polski. Uczuciowo jesteśmy bardzo związani z naszymi rodzinnymi stronami, ale ze względu na odległość postanowiliśmy pomóc naszym rodakom, którzy znajdują się najbliżej nas, nieomalże za miedzą, a sytuacja ich jest nie do pozazdroszczenia. Chodzi o katolików, a dokładniej Polaków mieszkających w Kaliningradzie. Do niedawna był to temat tabu. Obecnie ludzie ci mogą ujawniać swoją narodowość i religię. Przed świętami Bożego Narodzenia 1991 r. i przed świętami Wielkanocnymi 1992 r. zorganizowaliśmy paczki świąteczne dla Polaków mieszkających w Kaliningradzie. Mogliśmy to uczynić dzięki zrozumieniu i dobrej woli Oddziału Wojew. Stowarzyszeniu „Pax” w Olsztynie, w którego lokalu co miesiąc odbywają się nasze spotkania klubowe i gdzie mogliśmy przygotować przesyłki.

Tak w grudniu 1991 r., jak i w kwietniu 1992 r. członkowie nasi przynieśli mąkę, cukier, słodycze, tłuszcz oraz sporo odzieży. W grudniu 1991 r. z funduszu „Dzieci Lwowa” zakupiliśmy jeszcze konserwy mięsne i słodycze na sumę 710 tys. zł, a w kwietniu 1992 r. z dobrowolnych składek naszych członków (którym ciężko było robić zakupy i dźwigać je do Pax-u) zebraliśmy 796 tys. zł, z czego zakupiliśmy olej, margarynę, konserwy i słodycze na sumę 780 tys. zł (nie ruszając funduszu „Dzieci Lwowa”).

Paczki te w obu przypadkach zawiózł do Kaliningradu ks. prałat Bronisław Siekierski, proboszcz parafii św. Józefa w Olsztynie. Ku naszemu zdumieniu ks. Jerzy Stachiewicz opiekun wspólnoty katolickiej w Kaliningradzie podziękował nam na łamach „Gazety Olsztyńskiej” z 16 IV 1992 r. za przesłane paczki.

My zaś lwowiacy z dalekiego Olsztyna chcielibyśmy na łamach „Semper Fidelis” podziękować przewodniczącemu Oddziału Wojew. Stowarzyszenia „Pax” w Olsztynie p. dr. Janowi Chłóście i wszystkim pracownikom tegoż Oddziału za serdeczne bezinteresowne przygarbienie naszego Klubu od stycznia 1989 r.

Metropolita warmiński ks. biskup Edmund Piszcz bardzo interesuje się tworzącą się wspólnotą katolicką w obwodzie Kaliningradzkim, często ją odwiedza. Dla zobrazowania panujących tam stosunków w załączeniu przesyłamy ciekawy wywiad z ks. metropolitą E. Piszczem na ten temat, wydrukowany w „Słowie Powszechnym” nr 39 z 10 marca 1992 r. Być może Redakcja zamieści go w „Semper Fidelis”.

Olsztyn 26.04.1992 r.

IV SPOTKANIE ODDZIAŁÓW TML Z ZACHODNIEJ POLSKI

Uśmiechem i lwowskim „Ta, joj” witał Klub „Leopolis” TML 16 maja we Wrocławiu przedstawiciele 19 oddziałów Towarzystwa, którzy zjechali na kolejne spotkanie tzw. makroregionu zachodniego.

Ten nieformalny związek oddziałów powstał w 1991 r. z inicjatywy prezesa oddziału leszczyńskiego, p. Janusza Ragankiewicza, w wyniku koncepcji zacieśnienia kontaktów roboczych.

Na wrocławskie spotkanie zaproszono przedstawicieli Zarządu Głównego z prezesem p. dr Danutą Nespiak.

W serdecznej, przyjacielskiej atmosferze zebrani przedstawiali kolejno problemy swoich oddziałów, formy codziennej pracy i propozycje współpracy. W toku ożywionej dyskusji podkreślono konieczność koordynacji kontaktów z organizacjami polskimi we Lwowie i na Kresach, poprawy organizacji działań w przekazywaniu pomocy dla Polaków oraz usprawnienia akcji przyjmowania młodzieży na kolonie i obozy w Polsce przy zapewnieniu źródeł ich finansowania.

O aktualnej sytuacji we Lwowie i problemach środowiska polskiego opowiadał prof. Andrzej Alexiewicz, który niedawno wrócił z kilkudniowego pobytu we Lwowie.

Ciekawe i konkretne propozycje współpracy ze Lwowem przedstawił p. Wacław Baczyński z Częstochowy. Chodziło głównie o zbiórkę pieniędzy, sponsorowanie studentów, udział w komisji rekrutacyjnej na studia w Polsce, przekazanie adresów potrzebujących pomocy.

Zebrani uzgodnili z p. Baczyńskim termin dorocznego spotkania kresowian na Jasnej Górze (24 i 25 października 1992) oraz spotkania przedstawicieli oddziałów makroregionu w tymże czasie w Częstochowie. Uzgodniono też wstępnie ramy organizacyjne tych spotkań, podkreślając ich celowość.

Lesław Flis

INFORMACJA O POWSTANIU I CELACH STOWARZYSZENIA UPAMIĘTNIENIA OFIAR ZBRODNI UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW

Postanowieniem Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu z dnia 22.01.1992 r. zostało wpisane do rejestru Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. Stowarzyszenie będzie kontynuować działalność Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Ukraińskich Nacjonalistów „Misja Pojednania i Pokuty”, które powstało w marcu 1990 r. i działało we Wrocławiu jako stowarzyszenie (zwykłe).

Dotychczasowe doświadczenia potwierdziły celowość prowadzonej działalności, a równocześnie ujawniły, że forma prawna stowarzyszenia zwykłego jest nieodpowiednia do realizacji przyjętych założeń. Wiele wątpliwości i zastrzeżeń wywołało zawarte w nazwie organizacji hasło „Misja Pojednania i Pokuty”. Nieśluszne okazało się też ograniczenie członkostwa do rodzin ofiar terroru ukraińskich nacjonalistów. Zważywszy, że wielkie są zaniedbania

w poznaniu i ujawnianiu rozmiarów popełnionych zbrodni, należy stworzyć jak najszerze możliwości działania pod względem osobowym i terytorialnym.

Prawda jest taka, że ideologia, z której wyrosły OUN i UPA jest niebezpieczną chorobą ludzkości, a nieodmówienia i fałszywe historyczne nie służą jej przezwyciężaniu.

Zgodnie ze statutem Stowarzyszenia podejmujemy prace nad utworzeniem sieci kół terenowych. Prosimy o rozpoznanie możliwości utworzenia takiego koła na waszym terenie i poinformowanie nas o tych możliwościach.

Jedną z form upamiętnienia ofiar zbrodni są pomniki i epitafia (tablice pamięci). Zarząd Stowarzyszenia przygotowuje wzory – projekty plastyczne takich tablic. Prosimy o rozpoznanie możliwości wmurowania takiej tablicy w jednym z waszych kościołów

i poinformowanie nas o tych możliwościach. Przypominamy, że dzień 16 maja został przez nasze Stowarzyszenie uznany za „Dzień Pamięci” poświęcony ofiarom zbrodni ukraińskich nacjonalistów; prosimy o podniesienie tej sprawy w waszym środowisku.

Jednym z głównych celów działalności Stowarzyszenia jest gromadzenie relacji świadków zbrodni popełnionych na polskiej ludności kresowej przez ukraińskich nacjonalistów. Nasze Stowarzyszenie współpracuje z Główną Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu oraz Instytutem Pamięci Narodowej (zbierane przez nas relacje świadków zbrodni mogą również stać się podstawą do wytoczenia procesów sądowych sprawcom tych zbrodni), co dopiero w obecnych warunkach politycznych stało się możliwe. Relacje te przyczynią się również do ujawnienia prawdy historycznej o tych tragicznych losach naszego narodu.

Historia samoobrony polskiej ludności kresowej na terenach II RP wymaga opracowania. Uczestnikom walk z oddziałami UPA powinny przysługiwać uprawnienia kombatanckie. Te sprawy będą również przedmiotem zainteresowania naszego Stowarzyszenia.

W ośrodkach masowego przekazu publikowane są kłamliwe artykuły zniekształcające historię tragicznych wydarzeń — zbrodni popełnionych przez ukraińskich nacjonalistów. Nie wszystkie te

publikacje do nas docierają. Prosimy o przysyłanie nam wycinków z gazet lub odbitek zawierających takie artykuły, z zaznaczeniem tytułu czasopisma oraz daty publikacji.

Przy Stowarzyszeniu działa Fundacja im. Św. Andrzeja Boboli. Ma ona na celu finansowanie przedsięwzięć objętych zakresem Stowarzyszenia. Biuro Fundacji mieści się w siedzibie Stowarzyszenia.

Prosimy o zgłaszanie swojej gotowości udziału w działalności Stowarzyszenia, jak też o zainteresowanie tą działalnością członków swojej rodziny i przyjaciół, w szczególności tych, którzy zostali bezpośrednio dotknięci w wyniku popełnionych przez ukraińskich nacjonalistów zbrodni. Prosimy też o podanie nam adresów osób, do których możemy zwrócić się z podobną prośbą.

Listy do Zarządu Stowarzyszenia prosimy kierować na adres

Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar
Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów
Plac Teatralny 4
50-051 Wrocław

Przewodniczący Zarządu Stowarzyszenia
mgr inż. Szczepan Siewierka

POSZUKIWANIA

Poszukuję Jerzego Hapki — towarzysza z ławy szkolnej, sprzed wojny, ze Lwowa (X-te Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza). Proszę pisać na adres: Zdzisław Kopeć — 27 Avondale Road, Yonkers, N.Y. 10710, USA.

Pelagia JADZIAK, ur. 9 czerwca 1906 r. w BRZEŚCIANACH — Samborze, parafia Raków, córka Mikołaja i Eufrozyny, oraz jej córka Madame GINETTE CLAVERY, zam. 31380 MONTASTRUC la CONSEILLIÈRE 40 chemin VERT (France), poszukują członków najbliższej rodziny zamieszkałej w parafii RAKÓW k. Sambora.

Wszelkie informacje wraz z egzemplarzem zamieszczonego na łamach poczytnego „Semper Fidelis” ogłoszenia — poszukiwania, za zaliczeniem pocztowym prosimy kierować na adres: Klasztor Sióstr Dominikanek, Święta Anna, gmina Przyrów, woj. częstochowski.

Składamy z góry serdeczne Bóg zapłać i podziękowania.

Poszukująca rodzina jest dobroczyńcą naszego klasztoru i zakonu.

Siostry Dominikanki w Świętej Annie

Maria Dziegielewska
ul. Kościuszki 18a/25
67-400 Wschowa
woj. leszczyńskie

Wschowa, 13 maja 1992 r.

Po długoletnim poszukiwaniu osoby bardzo mi bliskiej, tj. matki chrzestnej (ciotki — siostry ojca), Marii Ireny Wardęga ur. 30.04.1913 r., zamieszkałej w 1939 r. we Lwowie, otrzymałam wiadomość z PCK Zarządu Głównego w Warszawie z dn. 6.04.92 r. Nr B.Inf.271/115/A, że w.w. osoba była więziona w obozie koncentracyjnym Lublin, nr więzienia 7722. Dalsze losy poszukiwanej nie są im znane. Było to potwierdzone pismem Międzynarodowego Biura Poszukiwań w Arolsem.

Wiem, że ciotka mogła założyć rodzinę, że być może są dzieci, była bowiem zaprzyjaźniona z osobą (poch. żydowskie), z którą mogli się pobrać, ale to są wiadomości nie potwierdzone. Nie mogę uporać się z myślą, że ślad zaginął, że może ktoś z rodziny w dalekiej Rosji oczekuje pomocy.

Dlatego zwracam się z gorącą prośbą do Was o umieszczenie w Waszym czasopiśmie tego listu, może jest wśród Was ktoś, kto przebywał w obozie i znał moją ciotkę, kto mógłby mi coś napisać o losach, życiu czy jej ostatniej woli.

Byłabym niezmiernie wdzięczna za każdą otrzymaną wiadomość.

Na informację o losach Stanisławy, Bronisławy, Julii Władysława Geisheimerów (ojciec Adam) z Buska koło Lwowa czeka rodzina w Szwajcarii.

Wiadomość proszę przesłać do redakcji „Semper Fidelis” lub pod adresem: Lesław Flis, 52-212 Wrocław, ul. Józefa Unruga 17/1.

Warszawa 3 V 1992

W. Pani
Dr Danuta Nespiak
Szanowna Pani Prezes!

Chociaż pochodzę z Wileńszczyzny — urodziłem się w miejscowości odległej o 12 km od granicy lotewskiej — zdecydowałem się napisać do Towarzystwa Miłośników Lwowa, które moim zdaniem wykazuje o wiele większą aktywność niż dwa towarzystwa wileńskie.

Zasmuciło mnie jedno stwierdzenie Pani w niezwykle wartościowym artykule pt. *Nim zaśpiewasz Alleluja*, w „Semper Fidelis”.

Pisze Pani tam: „Z przykrością stwierdzamy, że są osoby w Polsce, którym zależy, żeby »upolitycznić« TML i »Semper Fidelis«”.

Łagodzi nieco mój smutek ujęcie słowa: „upolitycznić” w cudzysłowie, bo może tu chodzić o sprowokowanie TML do wypowiedzi na tematy polityczne w sposób nieodpowiedzialny, taki, jaki jest potrzebny siłom wrogiom nam kresowiakom.

Byłoby jednak przykre, gdyby chodziło o to, aby nie dopuścić do tego, żeby TML i „Semper Fidelis” stały się rozsądnikiem myśli politycznej skierowanej na wschód, na Kresy.

Oczywiście można obstawać przy tym, aby TML i „Semper Fidelis” były stowarzyszeniem społeczno-kulturalnym, ale co z wiernością naszym stronom rodzinnym, naszej spuściznie narodowej i kresowej, naszemu dziedzictwu wspólnemu z dziedzictwem Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów i Łotyszów? Jeżeli „Semper Fidelis” — to do ostatka, do myśli politycznej i do ostatniej kropli krwi. Inaczej będzie to tylko częściowe „semper”, i co gorsza częściowe „fidelis”.

Oczywiście można pozostać przy społeczno-kulturalnym charakterze i TML, i „Semper Fidelis”, ale nie wolno nam ograniczać się wyłącznie do takiej działalności. Nie wolno nam samych siebie degradować do roli emigrantów przygarniętych przez miłosiernych współrodaków i nie podejmować działalności politycznej w ramach organizacji politycznych.

Nasza historia daje nam wiele przykładów, gdy to kresowiaczy wywierali wpływ na bieg wydarzeń w Rzeczypospolitej, a najwymowniejszym przykładem jest osoba marszałka Józefa Piłsudskiego, który wywalczył niepodległość Polski po prawie półtorawiekowej niewoli, ale który miał również polityczną wizję ziem kresowych, zapoczątkowaną sojuszem z atamanem Petlurą.

Niepowodzenie tej polityki wynikało nie z błędnych założeń, lecz z wyjątkowej sytuacji, przez pojawienie się ideologii wrogiej całemu chrześcijaństwu, nie tylko Polsce.

Na konferencji zwołanej przez Instytut Obywatelski w dniach 24–26 kwietnia br. w Warszawie nie tajono, że władze polskie nie przejawiają żadnego zainteresowania ani polityką polską na wschód od granic Polski, ani losem Polaków, którzy są tam rzeczywiście „semper fidelis”.

Jeżeli zatem jesteśmy świadomi tego, że obecne władze Polski, chociaż niekomunistyczne, nie interesują się polityką wschodnią, to na nas kresowiakach spoczywa obowiązek zainicjowania takiej polityki. To nie tylko obowiązki, ale również prawo wypisane na kartach najnowszej historii naszymi łzami i naszą krwią.

Księga poległych na polu chwały podaje około 29 tysięcy poległych i zaginionych żołnierzy I i II Armii Ludowego Wojska Polskiego, pochodzących w ogromnej większości z kresów bliźszych i dalszych.

A więc Polska w obecnych granicach, choć zorganizowana przez komunistów, została okupiona krwią prawie wyłącznie przez kresowiaków. Do tego dochodzi krew nieszczęśliwych wywiezionych do Rosji, którzy ginęli w transportach, na przymusowych robotach w łagrach sowieckich czy później z bronią w ręku w szeregach armii Andersa.

W innym miejscu pisze Pani: „Piszemy w naszym kwartalniku na tematy »kresowe« zgodnie z życzeniem naszych czytelników. Jak mamy się bronić tu, w Polsce, przed krzywdzącymi opiniami niektórych przedstawicieli elit politycznych wyrażanymi w prasie i telewizji?”

Odpowiedź jest prosta, chociaż nie wiadomo, dlaczego udajemy, że jej nie znamy. Oto nie mamy swojej reprezentacji, która by wywierała wpływ na kształtowanie polityki państwa i sprawowanie władzy.

Obowiązkiem naszym wobec nas samych, wobec naszych Braci, których zostawiliśmy i opuściliśmy za Bugiem, wobec krwi przelanej przez kresowiaków, wobec Rzeczypospolitej jest zatem tworzenie elity kresowej, która weźmie udział w kształtowaniu polityki państwa.

Pozwolę sobie w tym miejscu na małą dygresję. Z czasów szkolnych pozostał mi w pamięci strzęp poezji z okresu niewoli, może to Seweryn Goszczyński:

Już tam niejednen z zabużańskich Braci

Uchem przy ziemi każdy tętent ima,

A nas jak nima, tak nima.

Nie ma nas dla naszych Braci na kresach i nie ma też nas dla nas samych.

Pisanie na tematy „kresowe” nie może ograniczać się wyłącznie do rejestrowania i przypominania tragedii, która była udziałem Polaków w czasie II wojny światowej, lecz musimy zacząć rysować wizję nowego układu we wschodniej Europie.

Musimy wziąć głęboki, ale i odważny oddech, i spojrzeć na rzeczywistość obecnie — w 1992 r.!

Od koszmarnych przeżyć w czasach II wojny światowej dzieli nas już tyle lat, że wyrosły nam dwa pokolenia po tej i tamtej stronie. Nie rozpamiętujemy dziś rzezi humanitarnej, bo ona nikogo nie interesuje. Taki sam los w naszej świadomości spotka koszmarny przeżyć z czasów II wojny światowej. Niemcy wyrzadzili nam o wiele więcej krzywd, a jednak dziś ochoczo, zwłaszcza elity polityczne kręcą się po korytarzach niemieckich gabinetów, które olśniewają nas przepychem, ale do których wstęp dla nas jest niezwykle utrudniony.

Oprzytomnijmy! Na Wschodzie mamy biedniejszych wprawdzie sąsiadów, ale ci sąsiedzi, to nasi Bracia z dawnej Rzeczypospolitej, to spadkobiercy wspólnego dziedzictwa. Ci nasi Bracia liczą na nas i może też dziś niejednen z nich „uchem przy ziemi każdy tętent ima”. Od nas zależy, czy między nami zatętni znów życie przyjazne i zgodne.

We wspomnianym artykule pisze Pani również z wyrzutem pod adresem możnych tego świata, że „w parlamentach i gabinetach rządowych Europy nie obchodzą, co jest zrozumiałe, małe lokalne sprawy polskie, które są dla nas ważne, np. jak wywalczyć dla naszych rodaków na Wileńszczyźnie i za Zbruczem ten sam »standard« praw mniejszości narodowych, jaki te mniejszości mają w Polsce”.

Chcemy, żeby moi tego świata podali nam rękę, ale widzimy, że ich nasze małe sprawy nie obchodzą. Spróbujmy więc innego wyjścia — naszego, polskiego, bliższego nam i potrzebnego również innym: podajmy rękę Kozakowi i zaczniemy odbudowywać raj nasz cichy.

Papież Jan Paweł II na spotkaniu z młodzieżą w Częstochowie zachęcał ją, aby interesowała się polityką. Na spotkaniu tym była też zapewne młodzież pochodzenia kresowego. Co ona przywołała z Częstochowy swoim rodzicom? Czy też nadal mają siedzieć cicho i nie zajmować się polityką? Moim zdaniem ten, kto stroni od polityki, sam godzi się na słabość i na pozycję obywatela drugiej klasy. Ten uchyla się od odpowiedzialności za swój los i za przyszłe losy kraju.

Może to Panią zdziwi albo i zezłości, ale chcę zacytować tu jeszcze pouczenia Soboru Watykańskiego II:

„Niech katolicy starają się usilnie współpracować ze wszystkimi ludźmi dobrej woli [...] i niech prowadzą badania nad sposobami doskonalenia ustroju społecznego i państwowego w duchu Ewangelii”.

Wszystko to pisałem z jedną myślą, aby zachęcić Panią do zainteresowań politycznych, być może wówczas kresowiaczy rzeczywiście otrząsną się z przygnębienia i przystąpią do zakładania partii, która nawiązywałaby do polityki Piłsudski-Petlura, która – sądzę i wierzę – przyniosłaby też rozwiązanie „standardu” polskiej mniejszości na Kresach, tj. na Wileńszczyźnie i za Zbruczem. Samotnie próbowałem już coś zacząć, ale bez powodzenia. Może więc wspólnymi siłami zrobilibyśmy coś!

Antoni Barszczewski

03-320 Warszawa, ul. Łąkocińska 5a m. 3

Wrocław 6 V 1992

Dot. artykułu: *Likwidacja więzienia stryjskiego przy ul. Trybunalskiej przez NKWD w 1941 r.*, który ukazał się w „Semper Fidelis” 1992 nr 1

W trakcie pisania tego artykułu powstały niejasności, czy podczas remontu więzienia stryjskiego w 1989 r. natrafiono na zwłoki ludzkie pochodzące z 1941 r., czy też z okresu dużo późniejszego. Z artykułu *Konspiracja 1939–1940* Adama Wartalskiego wynikało, że ludzi tych pomordowano jeszcze w 1941 r.

Tymczasem wg relacji tamtejszej Ukrainki, mieszkającej teraz w Stryju, były to zwłoki pomordowanych dużo później niż w 1941 r., kiedy „swoi mordowali swoich”.

Wobec tych dwu sprzecznych relacji czy domysłów zwróciłam się listownie do obecnego mieszkańca Stryja, Kazimierza Podhajeckiego, prosząc o wyjaśnienie. Taką otrzymałam odpowiedź, którą podaję w pełnym brzmieniu:

„W dniu 25 X 1944 r. byłem zasądzony w więzieniu stryjskim na rozstrzał. Karę śmierci zamieniono dnia 11 XI 1944 r. na 20 lat katorgi. Dlatego też w 1989 r. przywieźli mnie autem, ażebym powiedział, co pamiętam. Na podwórzu, tam gdzie był kryminal, w kacie rozkopano ogromne jamy, z których wystawały kości ludzkie. Trupy były pogrzebane w 1945 r. lub w 1946 r. Z terenu więzienia nie było świadków.

A ci, którzy byli pomordowani w 1940 r. i w 1941 r., byli rzućni do kanału więziennego, gdzie za Niemców Żydzi z kanałów wydostali i myli, i składali na podwórzu więziennym. To ja na własne oczy widziałem i oni są pochowani na cmentarzu. Teraz pięknie im tam zrobili. Wszystko o tym napisać, to bardzo dużo wymagałoby wysiłku”.

Jest to sprawozdanie Kazimierza Podhajeckiego
293500 Ukraina
Oblast: Lwów
Miasto: Stryj
Ulica: Łesi Ukrainki nr 57

Krystyna Roszek-Masiak

Szanowna Redakcjo!

Tak się złożyło, że jestem wnukiem śp. Prof. Czesława Reczyńskiego – dziekana Wydz. Chem. Politechniki Lwowskiej (1922–1936), twórcy lampy kwarcowej i modelu obecnie stosowanej lampy rtęciowej, kuratora – założyciela Akademickiego Związku Polskiej Młodzieży Kresów Wschodnich na Politechnice Lwowskiej.

Mam poważny kłopot z ustaleniem miejsca spoczynku mojego dziadka, a także reszty rodziny pochowanej we Lwowie. Według materiałów źródłowych powinni być na Cmentarzu Łyczakowskim, według przekazu dalszej rodziny – w Zimnej Wodzie pod Lwowem, gdzie Profesor miał willę i leżał chory ostatnie pół roku swojego życia. Byłem we Lwowie kilkakrotnie, przekopałem archiwa przy użyciu różnych metod. Kontaktowałem się z prof. S. Nicieją, bez skutku.

Urodziłem się 17.04.1947 – Wrocław na ul. Ruskiej 18 m 2. Moi rodzice zmarli gdy miałem 14–16 lat, nie przekazali mi wiele po przejściach wojennych. Schorowani, matka – Oświęcim, ojciec – kamieniołomy w Niemczech, żyli zamknięci w sobie i pragnęli zapomnieć.

Żyje asystent mojego dziadka prof. Nikliborc, lecz ten bardzo stary pan ma poważne luki pamięci i trudno od niego wymagać czegokolwiek. Mam zatem prośbę – może ktoś z członków Towarzystwa (były pracownik naukowy lub inne osoby), był na tym pogrzebie lub może podać jakieś informacje w tej sprawie. Będę bardzo zobowiązany, jestem członkiem TML w Olsztynie. Łączę wyrazy szacunku dla wszystkich Lwowiaków we Wrocławiu.

Czesław-Jacek Reczyński

10-691 Olsztyn, ul. W. Gębika 18 m 11

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Adam Śniechowski

Urodzony 23 grudnia 1908 roku w staniśławowskim, Polska. Drogi Mąż i Ojciec, magister prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, rotmistrz rezerwy Rzeczypospolitej Polskiej, zmarł 29 października 1991 roku w Downers Grove, IL.

Prochy zostały złożone 1 listopada w Resurrection Garden Mauzoleum w Chicago.

O czym zawiadamiają pogrążeni w żałobie: żona Anna, córka Iwona z mężem Bobem, syn Ryszard, oraz rodzina w Polsce, Anglii, Kanadzie i Argentynie.

Adam Śniechowski był członkiem TML Klubu „Tłumacz”. Był pierwszym drużynowym Pierwszej Męskiej Drużyny Harcerskiej im. Księcia Józefa Poniatowskiego w Tłumaczu.

Z dalekiej Ameryki, gdzie mieszkał po wojnie, przyjeżdżał dwukrotnie na nasze zjazdy do Polski.

W roku 1984 był w Mostowie k. Koszalina, gdzie spotkał po wielu latach kolegów szkolnych z harcerstwa i towarzyszy broni z ostatniej wojny światowej. Z wielkim wzruszeniem śpiewał razem z nami przy ognisku piosenki harcerskie, wojskowe i przedwojenne. W roku 1988 był na zjeździe w Trzebnicy (koło Wrocławia). Uczestniczył w pielgrzymce tłumaczan do obrazów świętych z naszego nie istniejącego już kościoła tłumackiego, a znajdujących się obecnie w kościołach w Kątach Wrocławskich i Siedlakowicach. Co roku w pierwszej połowie czerwca tłumaczanie tradycyjnie już spotykają się na wspólnych wczasach w Kołobrzegu.

Zawsze jest odprawiana msza św. za wszystkich tych tłumaczan, którzy ostatnio od nas odeszli. Będziemy wspólnie modlili się i za Twoją duszę Adamie, a przy ognisku minutą ciszy uczymy drogą nam o Tobie pamięć.

Wiceprezes Klubu „Tłumacz”

Danuta Tabińska-Juhasz

LISTA OFIARODAWCÓW NA FUNDACJĘ KRESOWĄ
„SEMPER FIDELIS”

(opuszczonych w poprzednim numerze SF, obejmuje wpłaty od 22 I do 17 II 1992)

1. Ewa Barbara Zembola – Gliwice, Młyńska 12/4	2 000 000
2. „Czasopismo Wojskowe” – Warszawa, Grzybowska 71	500 000
3. TML-Jelenia Góra, Wolności 29	200 000
4. Władysław Semkowicz – Kraków, Kazimierza Wielkiego 26/24	100 000
5. Jerzy Ragonkiewicz – Głuchołazy, Parkowa 9	200 000
6. Anna Fabiańska – Kraków, Grottgera 22/7	30 000
7. Bolesław Filipowski – Gliwice, Kochanowskiego 259/27	100 000
8. Władysław Bohr – Gliwice, PKWN 18/14	50 000
9. Władysława Kawalec – Wrocław, Radomska 28	50 000
10. Krystyna Susabowska – Jelenia Góra	50 000
11. Zdzisław Kopeć – Nowy Jork	570 000
12. Anna Chwalibowska – Katowice, M. C. Skłodowskiej 38/5	100 000
13. TML-Kielce, Partyzantów 16	150 000
14. „Argent” Import-Eksport-Ciechocinek	500 000
15. „Olimp” Zakł. Prod. Sprzętu Sportowego – Gołdźsinów	100 000
16. Piotr Pomorski – Gdynia, Żeromskiego 40/7	100 000

Przepraszamy!

W składzie Zarządu Głównego TML w nr 1 (11) 92 chochlik drukarski zmienił płeć naszej koleżanki z Komisji Rewizyjnej. Ma być nie Henryk Maciąg, ale Henryka Maciąg-Sternik. Również w liście ofiarodawców na rzecz Fundacji „Semper Fidelis” zniekształcone zostało nazwisko ofiarodawcy (poz. 36). Zamiast Wacław Żabiński powinno być pan Wacław Łabiniec. Przepraszamy.

W ostatnim numerze SF omyłkowo opuszczono odwrotną stronę listy ofiarodawców i nie została ona w całości wydrukowana, za co serdecznie przepraszamy.

Przepraszamy również p. Wartana Moszoro z RPA, że z Jego rzadko spotykanego imienia zrobiliśmy nazwisko.

Wszystkim naszym Dobrodziejom składamy serdeczne dzięki i staropolskie „Bóg zapłać” oraz zapewniamy, że dzięki Waszej ofiarności Fundacja może w tych trudnych czasach rozwijać się i realizować swoje cele.

Listy Ofiarodawców sporządziła Danuta Tabińska-Juhasz
Skarbnik ZG TML

LISTA OFIARODAWCÓW NA FUNDACJĘ KRESOWĄ
„SEMPER FIDELIS”

(obejmuje wpłaty od 13 III do 13 V 1992)

1. Zbigniew Lechowski – Wschowa, Moniuszki 4 b	15 000
2. Grażyna Stankiewicz – Bydgoszcz, Czerkasa 13/31	10 000
3. TML-Kędzierzyn-Koźle	150 000
4. TML-Jarosław	143 000
5. Tadeusz Wodziński – Lubliniec, Cyryna 10	70 000
6. Fund. Prasowa „Solidarność” – Warszawa, al. Jerozolimskie 125/12	1 000 000
7. Władysław Bohr – Gliwice, PKWN 18/14	50 000
8. Zofia Frankowska – Ustrzyki Dolne, Chopina 2/16	50 000
9. Stanisław Józkievicz, Katowice, Piastów 3/142	200 000
10. TML-Świdnica	200 000
11. Kazimierz Wisłowski – Kielce, Legionów 2/39	50 000
12. Wiktor Mokane – Jelenia Góra, Snyderska 1/1	100 000
13. Józef Bieńko – Kurzyna, Średnia 28	300 000
14. Janina Pospiszel – Wrocław, Okrzei 26/1	30 000
15. Jan Kozicki – Wrocław, Mielecka 30/2	8 000
16. TML-Rzeszów, Jagiellońska 4	320 000
17. TML-Brzeg, Rynek-Ratusz	156 000
18. Grażyna Stankiewicz-Ilkowska – Bydgoszcz, Czerkasa 13/31	10 000
19. Anna Hillbricht – Warszawa, Hoża 16/6	100 000
20. Zbigniew Lechowski – Wschowa, Moniuszki 4 b	15 000
21. Tadeusz Wodziński – Lubliniec, Cyryna 10	245 000
22. TML-Bydgoszcz, Konarskiego 1/3	500 000
23. Ludwik Klonowski – Jasło, Krasieńskiego 8/2	200 000
24. Mieczysław Łagan – Szczecin, Smocza 44/2	100 000
25. K. Matejka – Warszawa, Maszynowa 8 a	100 000
26. M. T. Wójcickie – Koźle, Piramowicza 19 c/4	300 000
27. Władysław Płoński – Szczecin, Legionów Dąbrowskiego 8/11	100 000
28. Zofia Lipińska – Tomaszów Maz. 14 Brygady 19/24	35 000
29. Antonina Żementowska – Warszawa	20 000
30. Stefan Szypol – Sopot, Kazimierza Wielkiego 71/2	20 000
31. Ignacy Seniuk – Bystrzyca Kłodzka	20 000
32. TML-Oddz. Bolesławiec	500 000
33. TML-Klub w Stalowej Woli	123 000
34. Helena Młotkowska – Milicz, Kombatantów 1	50 000
35. Lesław Mossakowski – Zakopane, Krupówki 54/7	100 000
36. Helena Ostachowicz – Zabrze, Kowalska 18/14	20 000
37. Andrzej Jastrzębski – Starachowice, Czerwonego Krzyża 2/39	100 000
38. Antoni Żebracki – Olsztyn, Gagarina 18/16	100 000
39. Grażyna Stankiewicz – Bydgoszcz, Czerkasa 13/31	10 000
40. Fundacja: „Pomoc Społeczna SOS” – Warszawa, Nowolipie 9/11	1 000 000
41. Władysław Bohr – Gliwice, PKWN 18/11	50 000
42. Mirosław Ziętara – Łódź, Żelazna 18/6	100 000
43. Danuta Łomaczewska – Warszawa, Mickiewicza 8/12	20 000
44. Pracownicy Księgarni „Ossolineum” – Wrocław	100 000
45. Ks. Alfred Pierzchała – Czarnożyły	200 000
46. Alicja Bieleninik – Wrocław, Białowieska 15/2	100 000
47. Irena Skrzypiec – Polanica Zdr. Boczna 2	50 000
48. Tadeusz Czuba – Żary	100 000
49. Franciszek Kuczyński – 50-950 Wrocław, skr. poczt. 423	100 000

FUNDACJA KRESOWA

„SEMPER FIDELIS”

Fundacja została powołana w grudniu 1990 roku we Wrocławiu. Celem Fundacji jest:

- *ochrona dziedzictwa historycznego i kulturalnego Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *wszechstronna pomoc społeczności polskiej zamieszkującej Kresy,*
- *szerzenie prawdy historycznej o roli i znaczeniu Kresów Wschodnich w dziejach narodu polskiego.*

Cele te Fundacja zamierza realizować poprzez:

- *gromadzenie i efektywne wykorzystywanie środków finansowych i rzeczowych otrzymywanych z kraju i zagranicy,*
- *działalność wydawniczą — kontynuowanie wydawania pisma lwowian i kresowian „Semper Fidelis” oraz innych wydawnictw związanych z szeroko pojętą tematyką kresową,*
- *organizowanie kolonii, obozów, zimowisk dla dzieci rodzin polskich w Ojczyźnie, pobyków leczniczych i sanatoryjnych dla najbardziej potrzebujących,*
- *fundowanie stypendiów dla uczniów i studentów,*
- *wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości tych ziem,*
- *współpracę z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się dawnymi i najnowszymi dziejami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *popieranie działalności popularyzatorskiej i naukowej odnoszących się do tego regionu.*

Fundacja przygotowana jest przy dodatkowym wsparciu finansowym do prowadzenia wszelkiej działalności przedstawicielskiej, wytwórczej, handlowej, turystycznej i artystycznej.

Każdy dar pieniężny lub rzeczowy przyczyni się do ocalenia polskiego dziedzictwa kulturowego, pomocy dla ludzi jej potrzebujących, wsparcia duchowego i materialnego Polaków obecnie zamieszkujących na Kresach.

Prosimy o powiadomienie swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i klientów o istnieniu i działalności Fundacji. Będziemy wdzięczni za każdy nawet najskromniejszy datek.

Uprzejmie informujemy, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi z podstawy opodatkowania zysku odlicza się kwoty dotacji przekazywanych na działalność Fundacji.

Nasze konto: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wrocław, Rynek Ratusz 7/9 PKO IV/O Wrocław 93549-99192-132-3 Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”.

